N. 9. WARSZAWA d. 19 Lutego (2 Marca) 1872 ROKU.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

ODCZYT PUBLICZNY

PRZEZ

J. K. Gregorowicza

NA KORZYŚĆ

WARSZAWSKIEGO TOWARZYSTWA

DOBROCZYNNOŚCI.

odbyty dnia 28 Stycznia b. r.

(Dalszy ciąg.)

W starożytności człowiek przypatrując się siłom rozlanym w całéj przyrodzie, jak pod ich działaniem powierzchnia zamieszkałéj przez niego ziemi, zmienia się, przeistacza, darzy plonem lub nieurodzajem, jak wody zatapiają, ląd zapada, morze wzbiera, góry ogniem buchają, jak zmienia się atmosfera, niknie światło, nastają ciemności, zapalają gwiazdy, zapytywał sam siebie z trwogą, cóż to takiego, co tak potężnem jest w swoim objawie,—czego nie mogę zmienić, przyspieszyć, opóźnić ani nagiąć według swego pragnienia? Jeżeli szukając odpowiedzi podniósł oczy w górę... spostrzegał równie nieogarniony błękit a na nim kłęby chmur huczące piorunową burzą, lub posuwające się w majestacie ciszy, których w pochodzie nie mógł, ani wstrzymać, ani zmienić kierunku w jakim podążały.

Jeżeli z pytaniem zwrócił się do siebie cóż dostrzegał? Oto drganie najrozmaitszych namiętności pędzących go na oślep, siłą jakąś dziwną, niczem nie powstrzymaną, któréj czuł że musi ulegać, a oprzeć się nie ma mocy. Wewnątrz więc i zewnątrz siebie widząc tylko siły potężne a tajemnicze, musiał je otoczyć cześcią, ubóstwić i uznać siebie przykutym do ziemi jak liść na drzewie lub źdźiebło w trawniku, które siły przyrody karmią i niszczą zarazem. Bogowie też świata starożytnego, to tylko symbole sił rządzących naturą, a przymioty ich czysto materjalne, pozbawione wszelkiéj moralnéj wartości. Jowisz najsilniejszy ze wszystkich powiada do bogów, że gdyby uczepili łańcuch do nieba i wszyscy się na nim zawiesili, jeszcze nie zdołaliby ściągnąć go z tronu, ale przeciwnie onby ich podniósł z ziemi i wszystkich przyciągnął do siebie. Mars zraniony w walce z Diodemem upadając, przykrywa ciałem swem siedem morgów ziemi. Byli bożkowie błogosławiący pracom rolnika, handlowym przedsięwzięciom, opiekujący się zwierzętami i roślinnością, chroniący od szkód i zawodów; stawiano świątynie pokoju, zwycięztwa, fortuny, honoru, wojny, waleczności i szczęścia. Zmiany atmosferyczne, usposobienia ludzkie, chęci, pragnienia, wypadki, zdarzenia uważano również jako zostające we władaniu odrębnem sił natury. Wierzono w czary i zaklęcia, w sposoby odwrócenia złego a sprowadzenia dobrego, w możność ściągnięcia jednego lub drugiego skutkiem okoliczności najbłachszych i wypadkowych; wierzono w przyszłość człowieka ściśle wytkniętą, któréj nic zmienić nie zdoła, wierzono we wróżby i proroctwa, a jeżeli przeczuciem powodowani przypuszczali, że nad tą naturą pełną życia i obfitości będącą polem nieustającéj walki miłości i nienawiści, pociągu i wstrętu, jest coś wyższego i potężniejszego, trzymającego nawet samych bogów w poddańczéj uległości, to i temu przypuszczeniu nadawali formy czysto materjalne, uosobiając je zawsze tylko w sile nieznanéj i niepojętéj, zwanéj Fatum, a będącéj niczem innem jak tylko nieubłaganem przeznaczeniem. Pomiędzy nawet filozofami, była jedna szkoła filozofów zwanych twórcami atomizmu, zajętych badaniem czy obok materyi pierwotnéj należy przypuszczać i siły pierwotne, a w takim razie, czy siły te są ślepo działającemi bezwiednie, czy też inteligentnie z własną świadomością.

W cześci téj niczem nieograniczonéj dla sił przyrody, w tem zupełnem ubezwładnieniu własnéj woli, i w porządku społecznym starożytności, siła górowała nad wszystkiem, gniotąc słabego bez żadnéj litości Dziećmi despotycznie rządzili rodzice, pan niewolnikiem, kobietą mężczyzna, bogatszy ubogim, niższą kastą wyższa, a nad tem wszystkiem przewodziło państwo z naczelną władzą, topiąc w swym ogromie jednostki. Im ono było silniejsze, tym silniejszym czuł się każdy, zdobycz więc stała się potrzebą, koniecznością, każdy jéj pragnął, nie szczędził ofiar do jéj uzyskania i Rzym wojował ościenne ludy, wtłaczał w granice swego państwa coraz nowsze prowincje, dążąc do zapanowania światu jako najwyższéj ziemskiéj potęgi.

Walki w cyrkach gladjatorów i dzikich zwierząt, stanowiące najulubieńszą rozrywkę starożytnych Rzymian, to tylko tryumf siły nad słabością. Zachwycano się niemi, bo w samem urządzaniu podobnych igrzysk widziano własną siłę, zmuszającą podobnych sobie ludzi i drapieżne twory do wzajemnego zażerania się, na skinienie wyższéj od nich potęgi. Nie wynikało to z zamiłowania srogości, ale wprost z wewnętrznego usposobienia do poklasku wszędzie tam, gdzie tylko siła występowała we właściwym sobie charakterze.

W tem ubóstwianiu siły i wielkości, osobistość ludzka nikła w ogromie państwa, a niewola w najstraszliwszem tego słowa znaczeniu rozpościerała się wszędzie i nad wszystkiem. Gdziekolwiek się obrócił człowiek świata starożytnego, zawsze obawa i trwoga wskroś go przejmowała. Bał się silniejszego od siebie władzą, bał się najwyższéj zwierzchności, bał się sił tajemniczych, rozporządzających w nim jego myślą, żądaniami i pragnieniem. Gdziekolwiek spojrzał postrach ten nieopuszczał go na chwilę, we wszystkiem, w każdym spotkanym przedmiocie, w najbłachszéj okoliczności i czynności cudzéj lub własnéj, w lada drobnostce, w powiewie wiatru, szmerze liści, w głosach świata zwierzęcego, widział wszędzie zapowiedzi niemiłych lub nieszczęśliwych dla

siebie wydarzeń. Wierząc w konieczność i przeznaczenie nie probował nawet walki z niemi, ale starał się podejść i ubezwładnić złowrogie dla siebie siły przyrody, za pomocą: czarów, zaklęć, talizmanów i różnych formułek czarnoksięzkich w powszechnym przez wszystkich będących użyciu.

Na plennym gruncie rozbujałéj tak niewoli ducha, wylęgło się najstraszliwsze samolubstwo; każdy zamknięty w sobie drżący, trwożny, czyż mógł zaprzątać się drugim, podobnym sobie niewolnikiem?

Z litości też śmiano się, ze współczucia szydzono, wspomaganie niedoli przyjmowano z pewnym rodzajem zgrozy, a biednym, nieszczęśliwym gardzono i potrącano jako skalanym ręką przeznaczenia.

Cywilizacja starożytnych ma swoją wielką i niezaprzeczoną wartość, jéj prawodawstwo, jéj mędrcy i filozofowie, jéj poeci i artyści do dziś dnia obudzają podziw i uwielbienie, ale w tym wyrobie ducha ludzkiego, znać wszędzie więzy w których był trzymany. W urządzeniach społecznych widnieje tylko troskliwość o wielkość i moc państwa, o jednostki zaś o tyle tylko, o ile one do tego celu posługują. Brak wyrobienia osobistości ludzkiéj tak dalece dał się tu uczuć, że Rzym starożytny nie znał żadnych instytucji i zakładów dobroczynnych, żadnéj organizacji będącéj wyrazem miłosierdzia publicznego. Państwo było wszystkiem, jednostka co mu służyć nie mogła, niczem. Z poetów starożytnych największy z nich Homer opiewał gniew Achilesa, a nie podniosłość ducha nad świat materji i zmysłowych wrażeń. Sztuki uplastyczniały piękność form cielesnych obnażając je wstrętnie; dla lepszego uwydatnienia tego co przystępne zmysłom, mogło tylko zmysłowy obudzać podziw. Mędrcom starożytności znaną była sztuka drukarska, siła pary i ściśnionego powietrza, może elektryczność, magnetyzm i inne zdobycze naukowe dziś w powszechnem będące zastosowaniu, dlaczegóż jednak przemknęły się niepostrzeżenie przekazując potomności zaledwie słabe ślady zdartéj z nich tajemnicy? Bo jednostki nie nadają charakteru całéj cywilizacji, tylko są niejako dowodem potęgi ducha ludzkiego, który nie mogąc zbiorowo, chociaż genjuszem pojedynczych ludzi wydziera się ku światłu, ku prawdzie. W pośród zmysłowych mas były one jak chlebodajne kłosy, wyrosłe pojedynczo w gąszczu dzikich chwastów i zielska, zagrożone co chwila zniszczeniem bez siły zapasowania nad niemi. Drukarstwo nie upowszechniło się, bo w ludzkości zmysłowa nad nią przewaga, cudownego tego wynalazku nie czuła potrzeby. O sile pary i ścieśnionego powietrza wieść nawet po świecie nie rozeszła się, bo wynalazcę poczytanoby za czarodzieja godnego stosu, za targnięcie się na siły przyrody w powszechnéj będące cześci.

Dopóki Rzym dążył do zyskania najwyższéj ziemskiéj potęgi, dopóty ludzkość skupiając się pod sztandarem jednéj idei, rozwijała się szorstko, brutalnie, ale przynajmniéj podążała do urzeczywistnienia ideału siły na ziemi, jaką po nad nią dopatrywano. Ale gdy cel ten zdobyto, gdy Rzym stał się wielkim, silnym i groźnym na wzór sił rządzących przyrodą, duch ludzki nie mając bodźca do działalności w kierunku jakiejkolwiek idei, musiał koniecznie siłę swą twórczą zużytkować i stworzył nowy ideał użytkowania, od czego krok tylko do nadużycia. Przyszło ono wprędce, na wzór Rzymu królującego światu, każdy pragnął zostać Rzymem w swojem otoczeniu. Rzym bogacił się zdobyczami na ludach podbitych, obywatel rzymski na wyzyskiwaniu podwładnéj sobie rzeszy, każdy drżał, trwożył się, bo mierząc pragnienia cudze własnemi, czuł że nie ma dla nich hamulca, że depcząc drugich sam może być równie podeptany. Frymarczono też wszystkiem, cnotą, zasługą, rozumem, władzą, talentami, frymarczono miłością, wdziękiem, własną godnością, byle tylko zyskać i zadowolnić żądze rozpierające piersi.

Jeżeli w tęschnicy ducha, trzymanego w okowach zmysłowych wrażeń, szukano ulgi w rozwiązaniu tajemniczéj zagadki życia ludzkiego, gdzież ją miano znaleźć? Nie w miłości i mądrości Boskiéj, nie w mądrości ludzkiéj, nie w wierze choćby najbłędniejszéj bo ta zanadto była zmysłową, a więc zanadto ludzką, aby mogła pociągnąć i przywiązać do siebie: nie we własnym wreszcie przeczuciu, bo to w okowach zmysłowych, zaledwie tem pragnieniem dawało słabe znaki że nie zupełnie zamarło. Jeżeli trapiony wewnętrznym niepokojem spojrzał w około siebie, świat dając mu widok cnoty w niedoli a tryumfu złości, usprawiedliwiał wiarę w przeznaczenie, bezmyślnie szafujące swojemi darami. Jeżeli podniósł oczy ku władcom ziemi, i ujrzał jak podsycani zmysłowemi namiętnościami gniewu, zazdrości, pychy, zawiści, zbroją krocie wojowników, aby milionom nieść pęta niewoli, widział dotykalną potęgę sił rozlanych w przyrodzie, straszną, niemiłosierną, robiącą jednak wielkim tego któremu służyły.

Nie znajdując nigdzie odpowiedzi, grzebiąc się w pyle ziemskim z którego nic nie mógł wyczytać, otoczony ciemnością jakiéj nie umiał rozproszyć, na każdym kroku swéj pielgrzymki, widząc otwierającą się przepaść i złowrogą wróżbę nieszczęścia z góry narzuconego, musiał biedny niewolnik zmysłów uznać się zwyciężonym i bezwładnym w obec sił przez niego nie pojętych.

Szaleństwo ogarnęło wszystkich, rozpacz wszechwładnie zapanowała nad światem, u możnych z nadużycia, u niższych z niesprawiedliwości losu, u biednych z nędzy i ogólnego samolubstwa. Obecność stała się wstrętną, przyszłość bez nadziei, życie ciężarem, a skrócenie go jedyną ucieczką przed nędzą własnego niewolnictwa. Samobójstwo też spełniano z największą obojętnością, w pośród bogactwa i zbytku z szaleństwem rozpaczy biednych rozbitków, miotanych falą zupełnego zwątpienia. Aby ludzkość wydobyć z téj niewoli ducha przez zmysły trzymanego w okowach, trzeba było mocy jeszcze potężniejszéj nad tę, co go w tem poddaństwie trzymała.

I moc ta przyszła, spodziewano się jéj przepowiadano, w rozpaczliwem pragnieniu acz niejasna, niewyraźna unosiła się nad całą ludzkością, a mocą tą... było słowo nauki ewangielicznéj, które pierwsze myśl wydobyło z niewoli uczuć, powiadając: będziesz miłował Boga ze wszystkiego serca twego, ze wszystkiéj duszy twéj, ze wszystkich sił *i ze wszystkich myśli twoich*. Chrystus pierwszy robiąc tak stanowczy rozbrat między myślą i uczuciami, i rozszerzając jéj znaczenie, kazał kochać bliźniego jak siebie samego, być pokornym i cichym w duchu, sprawiedliwym, miłosiernym, a wiary i miłości dowodzić dobremi uczynkami.

Kochać Boga myślą, jest to uznawać Go niepojętym, niezbadanym, niemogącym być przedstawionym w żadnéj formie zmysłowéj, — kochać bliźniego jak siebie samego, jest to widzieć w nim brata, a w Bogu wspólnego wszystkim Ojca. Być pokornym, cichym jest to wznieść się myślą po nad obszar stworzonego świata, uznać nicość materji, a potęgę ożywiającego nas ducha. Dowodzić wiary dobremi uczynkami, jest to starać się rozróżniać złe od dobrego, odpychać pierwsze, skłaniać się do drugiego, i sąd o tem wydobyć z własnéj myśli czyli być czynnym nie biernym, ulegającym ślepo wpływom zewnętrznym. Wprawdzie wszystkie te zalecania i cnoty można pełnić siłą samego uczucia, ale nigdy one nie będą tak czyste i wielkie jak z myśli powstające. W pierwszem razie świadomość własnéj zasługi niknie, w drugim dając ją, osobistość człowieka podnosi, wolę krzepi i wytwarza wolność w duchu. (d. c. n.)

LIST

AUTORKI KRONIKI ZAGRANICZNEJ

W BIBLJOTECE WARSZAWSKIÉJ.

Literatura niemiecka utraciła w tych czasach kilku najznakomitszych przedstawicieli swoich, na polu filozofii, historji i poezji. W Hejdelbergu umarł w końcu roku zeszłego, uczony historyk i krytyk Gerwinus. W Berlinie zakończył życie sławny profesor filozfii Freudenlenburg, w Wiedniu zgasł wielki poeta dramatyczny Grillparzer.

Imię Grillparzera, pozostanie na zawsze ozdobą literatury niemieckiéj. Chwała jego przetrawiona w ogniu najzaciętszéj krytyki, wyszła z niéj czysta jak złoto. Rok temu, ośmdziesięcio-letni starzec, odbierał w dniu urodzin hołdy całych Niemiec, miesiąc temu nad trumną zmarłego, zabrzmiał chór pochwalny od Dunaju do Elby i Renu.

Długo i ciężko pracował Grillparzer na te wieńce, któremi uczezono włos jego siwy, i cichą jego trumnę W ciągu długiego zawodu literackiego był on celem nielitościwych pocisków, ze strony północno niemieckiéj krytyki. Estetycy berlińscy i lipscy, nie mogli mu przebaczyć że się urodził austryjakiem, a bardziéj jeszcze, że jako prawdziwy miłośnik sztuki, uprawiał, ją dla niéj saméj, a nie brał jéj za sztandar prowadzący do innych celów. Nie mogli zwłaszcza przebaczyć poecie, że czerpał natchnienie ze wszelkich krynic, odpowiednich jego pojęciom i wyobraźni, że naprzykład, w osobach Ottokara czeskiego Madiara Bank-Bana, lub ostatniego z rodu Dobratyńskich, upatrzył cechy godne bohaterów dramatu, podczas kiedy niemieccy krytycy, nie chcieli słyszeć o cudzych bohaterach, mając jedynie przed oczyma Arminiuszów, Argowistów, Zygfrydów, którzy pełne krwi czasze spełniają dziś w Walhalli, na cześć jedności germańskiéj.

Doczekał się jednak Grillparzer hołdu od całych Niemiec, na rok przed skonem, w ośmdziesięcioletnią rocznicę swych urodzin. Był że to ów hołd płynący z serca, i wnikający w serce, jakim ludy czczą niekiedy wieszczów swoich? Wątpimy o tem: nie była to pora na podobne uniesienia. W styczniu r. 1871 Niemcy zajęci byli czem innem, a nie literaturą. Jeżeli grono uczonych od Sprei, Elby i Renu, na hasło urodzin Grillparzera, pospieszyło skwapliwie nad Dunaj, to dla tego jedynie, aby promieniem geniuszu zasłużonego starca, przystroić czoła zwycięzkiéj Germanji. Długoletnie pociski krytyków, nie zdołały przygasić téj aureoli; trzeba więc było zmienić taktykę, i na własny obrócić ją pożytek.

Grillparzer prawdziwym był Wiedeńczykiem. Urodzony w grodzie Habsburgów, w nim pobierał nauki, w nim spędził pracowity żywot, w nim nakoniec znalazł cichy grobowiec. Zdaniem biografów życie jego przeszło spokojnie, bez nadzwyczajnych przygód. Przez lat ośmdziesiąt, przemieszkał w jednym domu, który przypadł mu działem po rodzicach, i przez ośmdziesiąt lat poglądał jednem oknem na rynek starego miasta. Ale Grillparzer nie próżno był poetą! Sądząc z prac jego dramatycznych, z téj głębokiéj znajomości ludzkiego serca, jakiéj dał tyle niezaprzeczonych dowodów, musimy przyjść do wniosku, że ta cisza jakiéj mu zazdroszczono, była tylko pozorną. Wiele musiało przeboleć serce, w którem ludzka boleść znalazła taki oddźwięk.

Wcześnie poeta rzucił się na pole dramatycznéj literatury, ale pierwsze próby nie wróżyły mu powodzenia. Łatwo pojąć co ucierpiał młodzieniec, kiedy Dyrekcja Teatrów Wiedeńskich zwróciła mu wielki

dramat wierszem, wraz z przestrogą, aby porzucił literaturę, i nie marnował czasu na próżno. Brak mu bowiem było jak dodano talentu poetycznego. Obrażony w miłości własnéj rzucił w ogień wszystkie próby swoje, i poprzysiągł zerwać na zawsze z piórem. Później jednak, ulegając namowie przyjaciół wziął się do przekładu kilku scen z Kalderona. Zachęcony pochwałą znawców mianowicie poetą Schreifogla, utworzył znakomity dramat Ahnfrau (prababka). Dramat ten przedstawiony na scenie wiedeńskiéj, w r. 1817, wywołał z jednéj strony gorący poklask, z drugiéj znów ostrą krytykę berlińskich estetyków. Największą pochwałą dramatu, była niezliczona liczba przedstawień, i dokonane przekłady na wszystkie języki europejskie. U nas przetłomaczył dramat ten Stanisław Staczewski, pod tytułem: *Ostatni z rodu Dobratyńskich*. Ahnfrau do dziś dnia grywana w Teatrze wiedeńskim przedstawiana była przed rokiem, w dniu ośmdziesięcioletniego obchodu urodzin autora.

W rok po Ahnfrau, wystąpił poeta z nowym dramatem *Sapho*. Publiczność Wiedeńska przyjęła ją z gorącym zapałem. Z równym zapałem przyklaskiwano jéj w Paryżu, w Medjolanie, w Londynie, a nawet w nowym Yorku, pomimo że przekład na obce języki, musiał odebrać w wielkiéj części pierwotny urok sztuce. Treść jéj dajemy w kilku słowach.

Sapho, sławna poetka Grecka, zachwyca świat geniuszem i potęgą niewieścich wdzięków. Sława jednak nie zapełnia jéj serca; syta oklasków pragnie kochać i być kochaną. W dojrzałych już latach, upodobała sobie młodego Faona. Młodzian odpłaca jéj wzajemnością, lecz ich miłość jakże odmienna! Sapho kocha ostatniem, Faon pierwszem uczuciem. Sapho zapomina o sobie, serce jéj gotowe na wszelkie ofiary; młodzieniec zaś, oczarowany sławą poetki, uderza przed nią czołem. Lecz chwilowy to zachwyt. Nad geniusz Saphony, silniéj go pociąga wiosenny urok jéj wychowanki Melity. Widzi to Sapho, szalona zazdrość miota jéj sercem, ale w próbie cierpienia, miłość jéj szlachetnieje, podnosi się do najwyższéj ofiary. Poetka łączy zakochaną parę, sama zaś po burzach żywota, szuka błogiéj ciszy wgłębinach oceanu.

Ostatni monolog Saphony, wyrzeczony na skale kończy się dziękczynną modlitwą do Bogów, za dary otrzymane z ich ręki. Oto krótki wyjątek.

Wielcy Bogowie, z waszéj to szczodroty,
Jam nieśmiertelnym wzbogacona darem
Wyście mi pieśni podali łuk złoty,
Usta poili natchnienia nektarem,
Iskrę uczucia zaklęli w me łono,
Roztlili jasno méj myśli pochodnie.
Dali mi w słowo przyoblec ją godnie,
I skroń uwieńczyć zwycięztwa koroną.
Wyście rozsieli po ziemi dalekiéj
Ziarno méj pieśni, — i pieśń ta nie skona,
Rozbrzmi w tysiące dźwięków rozrodzona,
I chyba z ziemią przepadnie na wieki.

Po Saphonie, utworzył poeta wielką trylogię: *Zdobycie złotego Runa*. Pierwsza jéj część nosi tytuł: *Wyprawa Argonautów*, druga *Jazon*, trzecia *Medea*. Utwór to wysoko ceniony. W *Medei* widzimy doskonale pojętą nową stronę niewieściego serca, rozpacz posuniętą do piekielnego szału.

Z kolei Grillparzer przedstawił na scenie cztery dramata, *Ottokara*, *Wiernego sługę*, *Fale morza i fale miłości*, *Życie snem*, i komedję :*Biada kłamcom*. Z ostatnim z tych utworów wystąpił w roku 1838. Każde nowe dzieło poety wywoływało nowe pociski zagorzałych krytyków niemieckich. Pociski te stały się w końcu tak bolesne, że Grillparzer zerwał stanowczo z teatrem. Ani prośby przyjaciół, ani nalegania dyrekcji nie zdołały wyrwać go z tego przedwczesnego milczenia. Odtąd w ciągu lat czterdziestu ukazały się tylko na scenie, oderwane akta ze *Scypiona*, *Anibala* i *Estery*.

Szczególną zajadłość w krytykach niemieckich, obudziły dwa dramata: *Ottokar i Wierny sługa*. Bohaterem pierwszego był król Czeski, drugiego magnat madiarski obaj w zapasach przeciw Niemcom. Za przedmiot do *Wiernego sługi*, wziął autor spór Ottona księcia Meranji, z Andrzejem królem Węgier. Bankbanus wierny sługa Andrzeja wyrywa pisklę królewskie, małego Bellę, ze szponów jastrzębia germańskiego; i osadza go na tronie ojców.

W dramacie Ottokar, przedstawił poeta zapasy dwóch olbrzymów, Ottokara i Rudolfa z Habsburga. Dwie te postacie prawdziwie typowe, odbijające w sobie rysy wieku. Celem ich walki korona cesarstwa Rzymsko-Niemieckiego, to jest panowanie nad światem.

Autor wybrał z życia Ottokara chwilę, kiedy po wygaśnięciu sławnego domu Hochhenstaufenów, Elektorowie Niemieccy szukają godnych rąk, w które mogliby złożyć bezpiecznie wolę rządu. Bezkrólewi, trwać nie może, w burzliwych czasach, kiedy mogołowie rozsiedli się zwycięzko na Haliczu, zkąd grożą tak Czechom jak i Węgrom. Niektórzy z Elektorów, udają się do Ottokara. Prawa jego niezaprzeczone. Matką mu była księżniczka z rodu Hochhenstaufenów a dzielność jakiéj dał dowody, walcząc pod chorągwią krzyża, przeciw pogańskim Prusom, świadczy— że jako nieodrodny potomek dziadów swych po kądzieli, potrafi być godnym ich następcą.

Dumny Ottokar pragnie korony cesarskiéj, ale pamiętny czci dziadów swoich po mieczu, chce panować w świecie jako król czeski. Chwała Czechów najgłówniejszym jest celem jego dumy, posłuchajmy jak się odzywa do panów Czeskich.

Ten płaszcz mój aksamitny, bramowany złotem,
Kupiłem go w Augsburgu; i kiedyż mi w drodze
Wykonacie podobny? Czas pomyśleć o tem,
Ja tak chcę, tak być musi, ja temu poradzę.
Nauczę was; chęć moja wnet stanie się czynem:
Bądź co bądź wasza Praga musi iść do pary
Z Akwizgranem, z Paryżem, Wiedniem i Londynem.
W obec świata szeroko skrzydła swe rospostrzem,
Te ludy, co szydziły z was słowy pysznemi,
Jam wszystkie je pokonał mego miecza ostrzem.
Już Węgry drżą przede mną, umilkły Bawary,
Butnéj Egrze niemieckiéj i Styryjskiéj ziemi
Narzuciłem swe rządy; zuchwałą Rakuszę
I Krainę; ma stopa zwycięzko przygniata;
Na dalekie ja kraje poniosłem Czech imię.
Sława Czech z szerokiego odbrzmiewa mi świata,
Ale nie dość mi na tem, ja daléj iść muszę!
Mógłbym dziś, gdym wykonał te dzieła olbrzymie
Zasnąć, jak ojce moi nazbyt długo spali,
I wam dać spać jak ojcom waszym dozwolono,
Lecz cofać się nie pora, potrzeba iść daléj
Powiodłem was na górę w skały najeżoną,
Idźmy! biada kto piersią tych skał nie przebije
Lub nam iść, albo w otchłań spaść na łeb na szyję.

W stosunku do Niemców Ottokar stokroć jeszcze dumniejszy. Zniechęca też pogardliwem obejściem przychylnych mu panów rakuzkich, styryjskich i karynckich. Większym jeszcze powodem ich niechęci, obejście króla z zacną małżonką. W dwudziestym trzecim roku życia, pojął on był, czterdziestoszeście-letnią Małgorzatę, wdowę po księciu rakuzkim. Małżeństwo to zawarte w widokach politycznych, cięży Ottokarowi; dręczy go myśl, że nie ma potomka, aby mógł przekazać mu władzę. Rozrywa zatem niemiłe mu śluby, a zamierza pojąć w małżeństwo młodą Elżbietę, wnuczkę węgierskiego króla Beli.

Biedna Małgorzata przyjmuje los swój z chrześcijańskiem poddaniem. Czuje się upokorzoną lecz myśl zemsty daleką od jéj serca. Nigdy ona nie kochała Ottokara, jeśli oddała mu rękę, to tylko dla szczęścia swych poddanych. Jedynym przedmiotem jéj uczuć był zmarły mąż i dwaj zmarli synowie. Piękną duszę królowéj malują własne jéj słowa, wyrzeczone do wiernych Rakuzianów.

W zamku Haimburgskim jak przystało wdowie,
Snułam żałosna bladą życia przędzę,
W tem przyszli do mnie rakuzcy panowie,
Poczęli kraju przedstawiać mi nędzę.
Jeszcze otucha nie zgasła ostatnia,
Wnet ład stargany wróci w gnieździe starem,
Gdy moje losy złączę z Ottokarem
I nasze ludy sprzęże zgoda bratnia.
— Nigdy! — jam rzekła—mnie dosnuć w żałobie
Wątku dni moich jak wdowie przystało,
Przysięgłam wierność, temu co legł w grobie,
Na cały żywot, i na wieczność całą.
Wówczas mnie oni wywiedli z komnaty,
I ukazali z krużganku zamczyska,
Płonące sioła, pogorzałe chaty,
Przesławnych grodów czarne rumowiska,
Obszar krwią ściekły, trupami zasłany,
I lud mój biedny garnący się rojem.
Łzawe niewiasty odziane w łachmany,
Biegną pod skrzydłem utulić się mojem.
O! na ten widok zabrakło mi siły!
Ciężkiéj boleści przebrała się miara,
Potężną wolę łzy ludu zwalczyły
Przyprowadzono do mnie Ottokara.
— To mąż twój księżno, ślubuj mu na Boga
Wiarę!" wyrzekną Rakuszany chórem,
Dreszcze mnie zbiegły, widzę go u progu,
Stoi nieśmiały, z obliczem ponurem.
Czarne źrenice czarną brwią zjeżone
Zwrócił młodzieniec, i we mnie matronę
Bystro je utkwił; a ja cała drżąca,
Pomna klęsk tylu, pomna krwi stoczonéj,
Jam przepomniała wiary przysiężonéj
Memu zmarłemu!

Krzywda Małgorzaty porusza do żywego panów styryjskich. Rodzina Merenbergów zaprzysięga pomście jéj poniżenie. Stary Merenberg wyprawia syna Siegfryda z listem do arcybiskupa kolońskiego, w którym Ottokar najsilniejsze miał poparcie. Oburzeni elektorowie niemieccy, zmieniają nagle zamiar i postanawiają wezwać na tron Rudolfa z Habsburga. Kraje rakuskie które Ottokar posiadał wskutek zapisu Małgorzaty, powstają przeciw niemu. W dziedzicznych nawet Czechach, tworzą się groźne stronnictwa pod chorągwią Zawiszów i Rozenbergów, Na domiar nieszczęścia, młoda małżonka Elżbieta. skłania serce ku młodemu Zawiszy najzaciętszemu z wrogów królewskich.

Ottokar wściekły z gniewu wtrąca do więzienia starego Merenberga i innych możnowładców. Rudolf z Habsburga nadciągnął tymczasem nad Dunaj, kr ó Czeski zbrojno zastępuje mu drogę. Zdradzony przez swoich, pokonany, zmuszony do hołdu, zgina kolano przed Rudolfem. Ale uczucie hańby własnéj doprowadza go do szaleństwa. Szuka ofiary, wydziera życie staremu Merenbergowi. Wreszcie wyłamuje się gwałtem spraw lennych i zrywa pokój z cesarstwem. W rozpaczliwéj walce przeciwko Rudolfowi, odcięty od swoich, zbłąkany, wchodzi w bramę cmentarza. Tu w kapliczce złożono trumnę zmarłéj Małgorzaty. Wieziono ją do grobów rodzinnych, ale poruszenia wojsk zatrzymały pochód żałobny, i panowie dworscy umieścili zwłoki w pierwszéj lepszéj kaplicy, jaką napotkali po drodze.

Ottokar nie wiedział o skonie Małgorzaty! Widok trupa uderza go silnie, w sumieniu jego budzi gwałtowny wyrzut. Poznaje odtrąconą małżonkę, zatrzymuje się w progu, i nie śmie postąpić jakby stopy wrosły mu w ziemię. Chwilę milczy..... potem wyciąga obie ręce ku trumnie.

Tyżeś to królowo?
Więc tyś umarła, i w godzinie skonu
Z ust twych nie zbiegło przebaczenia słowo?

(postępuje ku niéj kilka kroków)

Duszo pobożna! do Bożego tronu
Poszłaś ze skargą, za te łzy goryczy
Które z twych oczu pociekły przeze mnie!
Bóg sprawiedliwy może łzy te liczy,
I grom przekleństwa gotuje mi za to,
Gromu z niebiosów nie wzywaj daremnie.
Tyś już pomszczona biedna Małgorzato!
Losy dni moich okrutnie się mienią,
Zmarniały bujne mych posiewów plony,
Niby strząśnięty z drzewa liść jesienią,
Wszystko com zebrał, uniósł wiatr szalony,
Gwiazda méj doli zagasła w pomroku,
Sam dziś zostałem na téj pustéj drodze,
Kto mnie pocieszy, kto stanie u boku? —

(zbliża się bardziéj jeszcze)

Oni mnie wszyscy skrzywdzili tak srodze:
Niewdzięczność głowę podniosła zuchwałą,
Pierś mi przygniotło twarde bolu brzemię,
Ci, których serce moje ukochało,
Ci mnie zdradziecko rzucili o ziemię.
I ta kobieta nikczemna, dla któréj
Ciebiem porzucił wierna Małgorzato,
Pierś moją szarpie krwawemi tortury,
Plami cześć moją własnéj czci zatratą.
Gdym wrócił z boju, na świeże me rany,
Bluzgała jadem ta żmija obrzydła,
Biczem szyderstwa z mych progów wygnany,
Wpadłem na oślep w te zdradzieckie sidła,
Jakie oplotła śmierć w koło méj głowy.

(klęka przed trumną)

Ty! coś mi była pociechy aniołem,
Wyciągnij martwą dłoń z trumny dębowéj,
I znamię krzyża nakreśl mi nad czołem, —
Czas Małgorzato, czas... może w téj chwili
Straszny się wyrok nade mną dokona,
Już śmierć się zbliża, przeczucie nie myli,
Ty pobłogosław mnie błogosławiona.

(kładzie głowę na poduszce przy głowie zmarłéj).

Przeczucie nie omyliło; wojska czeskie poszły w rozsypkę. Król patrzy zdaleka na walczących, złamany boleścią korzy się głęboko przed Bogiem. Stają mu w oczach strumienie krwi wytoczonéj. Miałże on prawo szafować tą krwią gwoli swéj własnéj pysze?

Jeżeli kiedy wbrew troskliwéj pieczy,
W paluszek tylko dziecko się skaleczy,
Jeśli przypadkiem choć rana nie wielka,
Zrumieni rączkę drobna krwi kropelka,
Truchleja matka i łzy jéj gorące
Płyną nad synka złotowłosą głowę:
A jam téj dziatwy, powalił tysiące!
Trupami drogę jam uścielał nową
W szlaki przyszłości!... jam chwały nie syty
Szarpał te ciała końskiemi kopyty

(po chwili podnosząc ręce ku Niebu)

Boże! mój Stwórco! oh! jeśli już w niebie
Sąd Twój nad grzesznym zapadł Ottokarem,
Uderz!.... lecz niechże w proch się nie zagrzebie
Cześć mego ludu pod mych win ciężarem!

I spowiada winy swoje przed Bogiem, spowiedź tę kończy gorącą modlitwą:

Jeżeli Boskie raduje Twe oko,
Obraz człowieka co w serdecznéj skrusze,
Ogniem pokuty wypaloną duszę,
Składa bez trwogi przed Twym wiecznym tronem,

(klęka)

Patrz, o to klęczę pokorny i wierny,
Czekam wyroku z czołem pochylonem,
Osądź jak ojciec... jak Bóg miłosierny!

(pochyla głowę z najgłębszą pokorą)

Wtéjże chwili przybiega Siegfryd, syn zamordowanego w więzieniu Merenberga. Ottokar pada trupem z jego ręki.

Taka jest treść najznakomitszego utworu Grillparzera, który ze strony krytyków niemieckich, wywołał przeciw niemu trzydziestoletnią wojnę!

(d. c. n.)

Przegląd literacki.

Zagadki, głochówki, łamigłówki, rebusy dla grzecznych i pilnych dzieci, napisał *Józef Chmielewski*, nauczyciel szkoły głównéj, redaktor *Włościanina i Zagrody*, w Krakowie (bez wyrażenia roku wydania) stronic 152.

Książeczka ta, kosztująca 60 kopiejek, jak sam jéj tytuł zapowiada ma wyłącznie służyć dzieciom do zabawy, nie roszcząc sobie pretensji do wyższych celów pedagogicznych, i trzeba przyznać, iż w części jéj się to udaje. Autor, jeśli nie poeta, to człowiek myślący mający widocznie pewne doświadczenie nauczycielskie, w wierszykach swoich rozbudza ciekawość dziecka, zmusza je do zastanowienia się, do robienia tysiącznych kombinacji, któreby mu dozwoliło odpowiedzieć trafnie na zadane pytanie. A co tu śmiechu i radości jak się uda któremu odgadnąć zagadkę, odczytać *rebus*, lub rozebrać szaradę! Dzieci się bawią wybornie, a jednak umysł ich nie próżnuje, owszem więcéj jest czynnym, niż przy jakiéj czysto pamięciowéj lekcji.

Szaradami, rebusami bawią się i dorosłe osoby, a chociaż nigdyśmy nie byli zwolennikami tego rodzaju łamigłówek, przekonaliśmy się, iż one stanowią wielką przyjemność nie tylko ludziom z natury dowcipnym, ale tych nawet, których wyobraźnia drzemie oddawna.

Autor skrzętnie pozbierał od swoich i obcych i trafny wybór zrobił wszystkich tych różnéj nazwy zagadek, które nie przechodząc sfery pojęć dziecinnego i młodego wieku, potrącają zawsze o jaką prawdę etyczną z historyi lub nauk przyrodzonych.

Jedną tylko zrobilibyśmy uwagę, aby książeczki téj dzieci od razu nieprzeczytały, bo wówczas bez żadnego pożytku a nawet przyjemności zaspokoiłaby tylko ich ciekawość i straciła swoje znaczenie. Najlepiejby było, aby zostawała w ręku kogoś starszego, któryby od czasu do czasu wybierał jaką zagadkę lub szaradę, i dawa ją młodym swoim słuchaczom do rozwiązania.

Dowcipnym nikogo uczynić nie można, jeśli od natury nie ma tego daru, ale przez podrażnienie wszystkich prawie władz umysłowych, przyuczamy do szybkiego kombinowania, zestawiania z sobą najprzeciwniejszych przedmiotów i do wygłoszenia niekiedy trafnéj a doraźnéj odpowiedzi, które do dziś dnia zowiemy *dikonizmami.*

Zbiorek p. Chmielewskiego tę ma jeszcze zaletę, iż systematycznie, stopniowo, zaczyna od najłatwiejszych zagadek, szarad lub rebusów, nim poda trudniejsze, które już pewnéj wprawy wymagają. Niejedną zagadkę możebyśmy wyrzucili, jako zbyt naciąganą, albo niejasno sformułowaną. ale to już rzecz podrzędna, zwłaszcza, że język wszędzie poprawny, wolny od germanizmów, jakiemi przepełnione są książki we Lwowie lub Poznaniu wychodzęce, a przyswajane z niemieckiego języka.

J. P.

DROBNE SZCZEGÓŁY Z ŻYCIA MUZYKÓW.

Mozart pisał operę Don Juan w Paryżu. Pewnego dnia po kilkugodzinnéj pracy spojrzał na zegarek. Była już piąta. O téj godzinie muzyk jadał zwykle obiad. Ubrał się więc prędko i pospieszył do restauracji w Palais royal: w drodze jednak zabłysła mu nowa myśl, która tak go zajęła, że gdy usiadł przy stole a garson podał mu kartę, zażądał wprawdzie rosołu z makaronem, ale aż nadto było widocznem, że nawet nie wie co mówi. Przyniesiono rosół, lecz muzyk ani go dotknął. Mija dziesięć minut, kwadrans, kompozytor buja ciągle w sferach ideału i poezji, a rosół stygnie. Po półgodzinnem dumaniu Mozart przerywa milczenie i woła o szczupaka. Garson sprząta zupę i przynosi szczupaka, ale jego zapach nie zaostrzył bynajmniéj apetytu zamyślonego kompozytora.

W podobny sposób zażądał jeszcze czterech potraw i podobnie żadnéj nawet nie skosztował. Garson milczał jak skamieniały, był bowiem pewny że dziwny gość uciekł z domu obłąkanych. Mozart siedział ciągle nieruchomy, z głową podpartą obiema rękami i zdawał się nic nie widzieć i nie słyszeć. Dopiero w dwie godziny po przybyciu do restauracji, zerwał się nagle i błysnął dumnem czołem; lica jego pałały, z oczu sypały się iskry. Wypróżnia czemprędzéj sakiewkę i z okrzykiem: Jest! Jest! wybiega z jadalni.

Mozart skomponował wówczas Finał do pierwszego aktu Don Juana.

Od Redakcji.

Tygodnik Mód w kwartale drugim r. b. wychodzić będzie pod temi samemi warunkami.

Prenumerata wynosi kwartalnie w Warszawie . . . . Rs. 1 kop. 50 w Cesarstwie i królestwie z przesyłką pocztową. „ 2 „

Prosimy o przysyłanie pieniędzy wprost do Redakcji pod adresem: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie ulica Żabia N. 6 nowy. Dom narożny przy targu.

KORESPONDENCJA.

Pani Teodorze T. w Nowym Sączu. Dodatki przesłane zostaną przez pana Nowoleckiego z Krakowa.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk K. Kowalewskiego ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 9 r. 1872.

WIELKI NIEZNAJOMY.

OBRAZY NASZYCH CZASÓW

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego,

w Dwóch Tomach.

(Dalszy ciąg).

Tak się nad wszelkie spodziewanie ułożyło wszystko daleko lepiéj, niż Ernest mógł marzyć. Szło mu teraz wielce o to, by poznać dobrze opiekuna i pannę i sposób ich myślenia i idee. Staruszka polubił przecież lękał się go dla żywych tradycyj przeszłości, która u nas jeden tylko stan uznawała, oddzielając się od reszty.

Nie podobało mu się, że panna była bogata, nie rachował na to wiele, lecz trzeba już było dotrzeć, przekonać się i wiedzieć czy można mieć jeszcze jaką nadzieję. Staremu zwierzać się nie myślał. Pod pozorem innego interesu, ruszyli tedy razem do Berlina, a w drodze choć rozmowy o wszystkiem po troszę toczyły się nieustannie, hr. Ernest nie wiele się potrafił dowiedzieć. Opiekun tylko w zachwycających rysach malował pupilę. Parę razy zapytał, uśmiechając się, kto to był ten przyjaciel hrabiego, co się panną interesował. Ernest wszakże uznał właściwem nie wygadać się z nazwiskiem i z niczem, póki by bliżéj nie poznał co się święci.

Szczęsny, jak tylko wylądowali w hotelu Meinhardt'a, ledwie się otrząsnąwszy z pyłu pobiegł do Elwiry. Zastał ją niezwyczajnie poruszoną, zniecierpliwioną, kwaśną, dopytywał napróżno. Elwira nie przyznała mu się do niczego, tylko do bólu głowy. Dopiero późniéj w rozmowie poskarżyła się na natręctwo pewnego młodego człowieka, który ją nudził nieustannemi biletami, chociaż go raz na zawsze przyjmować zakazała.

— Na te nudy, moja Elwirko, trzeba ci jako pannie na wydaniu być zrezygnowaną, rzekł dziadek, jesteś piękna, bogata i rozumna. Rzesze za tobą chodzić muszą. Rozśmiał się stary. Ot i ja ci jednego kawalera ciekawego cię poznać, który od kogoś z Krynicy słyszał o tobie, przywiozłem. Pozwolisz mi go zaprezentować?

— Któż to taki? zapytała ciekawie Elwira, któréj serce uderzyło.

— Hrabia Ernest.

— Ale skądże, od kogo słyszał o mnie?

Szczęsny uważał za stosowne zmilczeć. Nie wiem od kogo mianowicie, spytasz się go. Pozwolisz zaprezentować?

— Ja nie wiem czy to właściwem będzie, abym ja jeszcze w żałobie, otwierała dom, przyjmowała młodych ludzi.

— Za pozwoleniem, odezwał się dziadunio, żałoba do tego nie ma nic, boć tańcować u ciebie nie będą, a koniec końcem jesteś sama i nie możesz dla tego zostać zakonnicą, zresztą, od czegoż ja i moja powaga. Twój dom jest niby moim domem, więc czasem mi wolno kogoś dobrze znajomego przyprowadzić, chociaż, bądź spokojna, ja nie nadużyję opiekuńskich praw i nikogo ci narzucać nie będę.

Elwira pomyślała, że poczciwy dziaduś kłamie pobożnie, że ten hrabia pewnie o niéj nigdy nie słyszał, ale Szczęsny go chce prowadzić.

Trzeba przyznać, że w sercu Elwiry wspomnienie Gabriela żywe jeszcze mieszkało, a przecież ten tytuł i to imię arystokratyczne zabrzmiało w uchu jéj jakoś miło, i nie była od tego, by poznać hrabiego Ernesta. Dała więc pozwolenie, a dziadunio zatarł tłuste rączki z ukontentowania.

— Wiesz co, najlepiéj tak będzie, ja go na herbatę przyprowadzę, dziś.

— Jak kochany opiekun chce i uważa.

— Nic zdrożnego, nic! Ta ceremonjalna pierwsza wizyta przedobiednia, to ceremonjalne nudziarstwo, my to pominiemy, tak będzie lepiéj. Elwira nic nie miała przeciwko temu.

Uradował się bardzo hrabia Ernest, gdy mu Szczęsny oznajmił, że po niego o ósméj przyjedzie. Umowa między panną Elwirą i opiekunem odbyła się przy pani Sciańskiéj, która w oknie siedząc robiła sobie pończochę i wcale na nią nie zdawała się zważać. Jednak w godzinę jakoś po rozmowie prosiła o pozwolenie wyjścia na miasto, i pod Lipami spotkała się, zapewne przypadkiem, z panem Greiferem. Ten ukłonił się jéj i spiesznie przystąpił.

— Jakto? spytał dosyć groźnym jakimś tonem, mimo pozornéj grzeczności. To ja już nigdy nie będę przyjętym, pani nawet tego mi wyrobić nie może?

— Ale ja jestem w tym domu obcą, proszę pana, odpowiedziała sucho kobieta, ja nic nie mogę, nic...

Greifer uśmiechnął się. Chcę dobrą pani dać radę, rzekł, bo widzi pani, ja się kocham, a zakochani gdy się ich do rozpaczy przywiedzie, mogą się chwycić rozpaczliwych środków.

— Które mu do niczego nie posłużą, dodała Sciańska.

— Choćby do nasycenia zemsty, która jest uczuciem brzydkiem, ale ludzkiem. Człowiek czasem radby się mścić na całym świecie.

— Nawet na starych kobietach.

— Ależ proszę pani, na honor, pani gdybyś chciała, mogłabyś mi przecie, dając świadectwo dobre, wyjednać choć nadzieję.

— Panna jest samowolną.

— Aż do niegrzeczności! zawołał Greifer. Boć przecie nie skompromitowałaby się przyjmując mnie parę razy.

— Znać nie życzy sobie, abyś się pan łudził.

Greifer westchnął. Panna samowolna, ale ja jestem uparty. Więc jakże, nie będę nawet przypuszczony do widzenia jéj oblicza.

P. Sciańska milczała, nagle z niecierpliwością pewną, odezwała się cicho: Próbuj pan szczęścia dziś wieczorem. Będziemy mieli gości na herbacie, jest opiekun i przywiózł z sobą hrabiego Ernesta z Warszawy.

Greifer się zachmurzył.

— Opiekun go przywiózł! zawołał.

— Tak jest, będzie po raz pierwszy. Przyjdź pan wieczorem, służący nie będzie śmiał go odprawić. A przecież panu tego uczyć nie trzeba, że na służących są sposoby...

Ledwie dokończywszy tych słów, pani Sciańska bez pożegnania poszła szybko daléj. Greifer stał długo w miejscu, drąc rękawiczkę i gryząc palce, potem zwolna pociągnął do domu, ale z miną niewesołą. Hrabia Ernest go przeraził, jak tu z takim współzawodnikiem walczyć było!

Na wieczór Elwira, mimo że serce jéj i myśl były gdzieś daleko, postanowiła przecież wystąpić, aby hrabia o domu nie zbyt miał złe wyobrażenie. Łatwo jéj było o to, przy zasobach w jakie troskliwa matka zawczasu dom opatrzyła. Przepyszne srebra, szkło, porcelana, jeszcze nie popakowane dla wywiezienia do Studziennéj, złudzić mogły pozorem domu na pańskiéj utrzymywanego stopie. Elwira sama zadysponowała wszystko, o jednéj tylko zapomniawszy rzeczy, o powtórzeniu zakazu przyjmowania Greifera. Śliczny salon, przepyszne piano Erarda, kwiaty, albumy, wspaniałe meble pozostałe z apartamentem, w których gości magazynu niegdyś przyjmowano, wszystko to składało się na wielce imponującą całość. Sama pani, choć w żałobie i żałobnie, ubrała się z wielkiem staraniem, a któréj że kobiecie nie jest do twarzy w czarnem, gdy się ubrać umie? Elwira była prześliczną, a tego wieczora majestatyczną się wydawała. Pani Sciańska ustroiła się także ze smakiem wielkim, tak, że nie zbyt świeże jéj ubranie umiejętnem użyciem zamaskowane zostało.

O ósméj punkt, bo Szczęsny był regularnym, gdy szło nie o niego, ale o kogo więcéj i bojąc się roztargnienia, ze strachu gotów był przybyć wcześniéj, zadzwoniono, hrabia Ernest wszedł z opiekunem. Panie były w salonie.

Pierwszy rzut oka na hrabiego bardzo o nim dobrze uprzedził, podobał się. Elwira zrobiła na nim wrażenie wielkie, miłe, lecz smutne razem, bo salon, otoczenie, zbytek, niestety, mówić się zdawały, że tu Pilawskiemu, posunąć się ani myśleć. Prostą więc tylko zaspakajając ciekawość, siadł hr. Ernest, poczynając rozmowę o rzeczach obojętnych. Dziadunio bawił panią Sciańskę, gdy drzwi się otwarły i w białych rękawiczkach, z kapeluszem w ręku, wsunął się Greifer. Zobaczywszy go Elwira na chwilę zdumiona, gniewna, ruszyła się, jakby chciała go odprawić, ale zmiarkowawszy się, zarumieniona, skłoniła się chłodno i ręką wskazała mu krzesło, nie mówiąc słowa.

Dla obcego świadka tego przyjęcia, było ono tak dwuznacznem, iż się dziwić nie można, że hrabia złapawszy rumieniec, pomieszanie, milczenie wywnioskował z tego, że p. Greifer dobrze bardzo widzianym być musi w domu i poufały w nim gościem. P. Szczęsny zdziwił się także, nic o nim lub niewiele wiedząc (tyle co mu z rana napomknięto), a znajdując go, jak sądził na herbatę proszonym. Nie przypuszczał bowiem aby się sam tak zuchwale narzucał. Ale to filut z téj Elwiry, rzekł w duchu, narzeka na natręta i sama go zaprasza. Coś tu jest! kryje się przedemną...

Greifer wszedł tu już zuchwale, a postanowienie miał mocne, iść i daléj przebojem. Skompromitowanie gospodyni było dlań przewidzianym środkiem zbliżenia się do niéj. Widział o dwóchkroć sto tysiącach talarów, o Studziennéj, o wszystkiem o czem starający się wiedzieć jest obowiązany, postanowił więc drugim przeszkadzać a sam dotrwać choćby najdłużéj i rękę otrzymać. Przybrał więc humor najlepszy i ton tak rażąco poufały i pewien siebie, że Elwira oniemiała. Zaprezentował się sam opiekunowi wesoło i raźnie jako dawny znajomy pani Domskiéj i panny, zabrał głos i słowem jednym nie żenował się wcale. Pani Sciańska z trwogi nie śmiała

oczów podnieść na niego, a pani domu mimo gniewu który ją zgrozą przejął, nie śmiała skarcić zuchwalca. Przysięgała sobie tylko, że sługę odprawi natychmiast.

Ernest patrzał, słuchał i smutniał.

— Pilawski tu nie ma po co jechać rzekł w duchu ten jegomość go wyprzedził.

Greifer, który z powołania wszystkie rodziny znaczniejsze i ich związki znał doskonale, farbując się tą wiedzą na człowieka wielkiego świata, natychmiast zapoznał się i z hrabią i począł go pytać natrętnie o familję, powinowatych, rozpowiadać o galicyjskich swych przyjaciołach hrabiach i książętach, o Baranach, Kreszowicach, Łańcucie itp.

Hrabia Ernest zbyt wielu znał podobnych panu Stanisławowi intruzów, aby się na téj paplaninie nie poznał. Zwykle łagodny i przystępny dla tego rodzaju ludzi był nielitościwym, stał się więc dumnym i mimo nadskakiwań Greifera, odprawił go bardzo chłodno. Greifer wywnioskował z tego, iż się pan hrabia myśli starać i to go na chwilę zmięszało. Z tych wszystkich wrażeń, domysłów, omyłek, kwasów i strachów, skutek był ten, że wieczór, cały został zupełnie zepsuty. Elwira nawet nie mogąca się uspokoić gniewna, drżąca nie była do siebie podobną i dla tego, który ją widział po raz pierwszy, wydać się musiała przynajmniéj bardzo dziwnie. Nie mogła nawet długo ścierpieć tego, że w fałszywem świetle przedstawiała się hrabiemu, i korzystając z jakiéjś zręczności odezwała się po cichu do niego.

— Obawiam się byś pan co mnie dziś widzisz raz pierwszy, bardzo złego o biednéj gospodyni domu nie powziął wyobrażenia. Nie jestem winną, że mnie dziś głowa boli trochę z gniewu..

— Jakto? śmiał by kto panią pogniewać? grzecznie odezwał się hrabia.

— Niestety, śmiał o to ten pan wcisnąć się do mego domu aby humor i wieczór popsuć. Jest to znajomość z wód, Krynicy a w tych wodach robią się w ogóle nieznośne znajomości.

— Jakto? wszystkie pani podciąga pod to prawo? zapytał patrząc na nią uważnie Ernest.

Elwira mimowolnie zarumieniła się mocno.

— Prawie wszystkie dodała najsmutniejsza rzecz że się z razu nie wie nigdy do kogo nas traf zbliży a potem..

Niedokończyła jakoś i poczęła mścić się na batystowéj chustce za występek Greifera, który dziadunia bawił i kokietował wysilając się na dowcip, erudycję na frazesy i wykrzykniki. Starego wziąć było niezmiernie łatwo, był bowiem równie dobroduszny jak roztargniony, a byle kto umiał chodzić koło niego oszukał go łatwo. Szczęsny śmiał się, gadał i bardzo mu ten miły gość był na rękę. Tym czasem z gniewu na natręta, Elwira z projektem napojenia go żółcią, starała się znowu ująć i być jak najsłodszą, najuprzejmiejszą dla hrabiego, który się tem trochę zakłopotał. Gdy piękna kobieta chce, może, niestety, najrozumniejszemu człowiekowi głowę zawrócić. Hrabia był i zacny i rozsądny i nie łatwo dający się bałamucić, przecież tego wieczora uczuł się jakby nie zupełnie panem siebie. Śliczne te oczy, uśmiech, a nadewszystko rozumne słówka oczarowały go. Hrabia był dosyć muzykalnym, rozmowa się wszczęła o muzyce, zaproszono gospodynię do Erarda, gniew dał jéj nadzwyczajną siłę i natchnienie. Zagrała jedną z Fantazji Schumann'a, jak tylko Clara Wieck grać je mogła. potem Sonatę Schubert'a, potem mazurka Chopina. Wśród tych świetnych popisów za intermezza służyły niemniéj błyskotliwe rozmowy. Ażeby nie mówić do Greifera, który napróżno zbliżał się kilka razy i wrzucał po słówku nie odbierając nawet odpowiedzi na żadne, zajęła się hrabią wyłącznie. Była dla p. Stanisława niegrzeczną, on wszakże zdawał się nie uważać na to, i trwał w najdoskonalszym humorze bawił dziadunia, poświęcał mu się. W sercu tylko zemstą gorzał.

Tak czas upłynął do herbaty. Kamerdyner otworzył drzwi do rzęsisto oświetlonego salonu jadalnego, którego dębowy rzeźbiony kredens pełen sreber, zastawa stołu, kwiaty, czyniły go prawdziwie wspaniałym. Gospodyni udało się posadzić z obu stron przy sobie Szczęsnego i hrabiego, tak że Greifer nieco na drugi plan został usuniętym. Siadł przy pani Sciańskiéj zachowującéj się w ogóle neutralnie w ciągu całego wieczora i niepodnoszącéj prawie oczów. Z nią po cichu pan Stanisław usiłował zawiązać rozmowę, od któréj się zrazu milczeniem broniła. Dobrze dobrawszy chwilę rzucił jéj jednak do ucha:

— Z dzisiejszego wieczora ciężki mi ktoś zdać będzie musiał rachunek. Siedzę jak na żarzących węglach, ale dotrwam do końca, to mnie *okrutnie* bawi.

— Może to nie być jednak wcale zabawnem szepnęła pani Sciańska.

— Nic już do stracenia nie mam, odparł Greifer. Przy herbacie znowu Elwira tak kierowała rozmową, ażeby ją skupić i zawrzeć w kółku szczupłem między Szczęsnym i hrabią. Greifer się wtrącał, narzucał, odpowiadali mu inni, ale ani razu, ani słowem gospodyni, która pół głosem zaprosiła hrabiego i opiekuna na obiad jutro, tak by pan Stanisław mógł się domyśleć lub pochwycić coś i poczuć że go wyłączono. W godzinę po herbacie Elwira skarżyć się zaczęła na ból głowy a stary niespokojny o jéj zdrowie chwycił za kapelusz by ją pożegnać. Hrabia wychodził z nim, Greifer umyślnie się przyzostał. Elwira skłoniła mu się zdaleka aby go pozbyć się prędzéj, nic to wszakże nie pomogło, z bardzo grzecznemi ukłony zbliżył się żywo.

— Jeślim był natrętnym, co sam czuję, i może nie zbyt miłym gościem, proszę o przebaczenie. Są uczucia które o wszelkiéj przyzwoitości każą zapomnieć.

Elwira nie odpowiadając nic odwróciła się i wyszła z pokoju. Greifer stał szukając oczyma pani Sciańskiéj, ale i téj nie było. zagryzł usta i wysunął się. W przedpokoju mający mu na wschodach poświecić służący, ten sam który go wpuścił, mrucząc szedł poprzedzając.

— Mam panu podziękować zawołał grubiańsko otwierając mu drzwi z pańskiéj łaski miejsce straciłem. Jeszcze się herbata nie skończyła, gdy mi pani przez panią Sciańskę oznajmić kazała, abym sobie służby szukał.

Greifer wymknął się co najprędzéj i wściekły pobiegł do domu.

Najobrzydliwszem z uczuć, a raczéj namiętności, które zbliżają człowieka do zwierzęcia, jest zemsta. Ewangelja nawet, która nakazuje przebaczać nieprzyjaciołom i miłości obiecuje zwycięztwo, nie zdołała z niéj świata oczyścić. Aż do dziś dnia tę szkaradną pomsty ideę znajdujemy uświęconą niejako prawem, obyczajem wrosłą w żywot powszedni. Mści się społeczność, mszczą kodeksy, domaga się pomsty wszystko co nas otacza. Dotknięty człowiek nim pomyślał zkąd nań cios padł, rozgorzeje zemsty uczuciem, choćby sam był winien cierpieniu. Z takiem wzburzonem sercem szukając po głowie sposobu wywarcia zemsty na nielitościwą Elwirę, wracał Greifer do domu. Było jeszcze dosyć wcześnie, miasto roiło się przechodniami, ogródki były pootwierane kazał się zawieść do jakiéjś restauracji, a szukając zapomnienia doznanych upokorzeń w butelce, wypijał szampana sam z sobą jakby chciał rozgorzeć więcéj i podbudzić w sobie namiętności. Pod wpływem gniewu i napoju przyszła mu nareszcie myśl, która mu się wydała doskonałą. Panna Elwira pisma jego nieznała, prócz tego wybornie umiał naśladować charaktery, mógł więc bezpiecznie nakreślić anonym i obrachować tak, aby go w czasie samego obiadu oddano. Dla zadania bolesnego ciosu Elwirze, dosyć mu było donieść jéj, że Pilawski umarł. Mogła się domyśleć zkąd pochodziło doniesienie. ale o to nie troszczył się wcale zaspokojenie zemsty szło przede wszystkiem nawet przed rachubą na przyszłość. Spiesznie więc powrócił do hotelu i następujący list przygotował jeszcze z wieczora:

„Niemiło jest być zwiastunką złéj wieści (list miał niby pochodzić od kobiety, na wszelki wypadek) lecz zdaje mi się że dopełniam obowiązku przyjaźni, donosząc teraz o smutnym wypadku, aby daremną nadzieją nie łudziła się pani dłużéj. Świętéj pamięci matka jéj gdyby żyła, byłaby mi wdzięczną za to, że przyspieszam nieuniknione rozwiązanie smutnego romansu, któremu ona była najmocniéj przeciwną. Dowiedz się pani, iż Gabriel Pilawski, którego wyzdrowieniem napróżno się łudzono, mimo najczulszych starań hrabinéj Palczewskiéj, ostatnie chwile jego otaczającéj pełną poświęcenia opieką, po odbytéj operacji odjęcia ręki umarł w Warszawie. Być może iż do łez po nim przymiesza się trochę zgryzoty, bo nie bez winy pani jesteś i jéj śliczne oczy. Niechże one po nim popłaczą, a obmyte spojrzą znowu wesoło w świat szukając nowéj ofiary."

List ten odczytawszy parę razy Greifer przepisał, zapieczętował pierścionkiem jakimś i postarał się przez szwajcara w hotelu, aby punkt o godzinie czwartéj wręczony został w mieszkaniu panny Domskiéj.

— Wyobrażam sobie scenę przy obiedzie! Panna zemdleje może, list upadnie, hrabia go przeczyta lub się domyśli i ruszy z Bogiem a ja zostanę. Ja pozostać mogę, mnie nie pilno, zobaczymy.

Gdy hrabia Ernest wrócił do hotelu i zapragnął zdać sam sobie sprawę z wrażeń wieczora tego, znalazł się dziwnie jakoś niepewnym i zaniepokojonym. Panna Elwira podobała mu się bardzo, pojmował że się w niéj można było zakochać szalenie wolałby był jednakże mniéj świetny dom, nie tyle otaczającego blasku, a nawet nie taką energję w charakterze panny, stworzonéj i czującéj że umiała panować temu co ją okalało. Wolałby był nade wszystko nie spotkać tam tego na pozór tak spoufalonego adoratora i towarzyszki, któréj powierzchowność drażniła jak zagadka nieprzyjemna. Szło mu głównie o położenie Elwiry i świat w którym żyła, to co dotąd widział mało mu dawało nadziei, ażeby Pilawski mógł być przyjętym wyspowiadawszy się kim był i jakie zajmował stanowisko. Przezacny Szczęsny podobał się bardzo hrabiemu, był to bowiem człowiek sympatyczny i szlachetny, ale i w rozmowie z nim znajdował hrabia uprzedzenia wieku, stanu i sfery w któréj się obracał, weszłe w życie, w krew, które Gabrielowi na przeszkodzie stać mogły. Piękność Elwiry, jéj wykształcenie, swoboda i ton w towarzystwie zachwycały Ernesta, lecz mimowolnie myślał, jak by się ona pogodzić potrafiła z osamotnieniem które ją otaczało, z życiem zamkniętem lub ze skromnem kółkiem w którem Pilawski obracać się musiał. Wychowana do świata, do ludzi, choć miała wszelkie przymioty z któremi człowiek sam sobie wystarczyć może, wymagać miała prawo od losu coś więcéj nad Pilawskiego skromną rolę, z któréj nigdy wyjść nie mógł. Nawet miljony wydźwignąć by go niepotrafiły, chybaby porzucił to co mu je dało, a przedzierzgnął się

na bankiera, na spekulanta, na handlarza pieniędzy, bo tem by już zyskał za gotówkę, zupełne prawo obywatelstwa.

Myślał, wzdychał, a oczy panny Elwiry biegały za nim, i uśmiech jéj nęcący migał mu wspomnieniem, i bardzo był rad, że ją zobaczy nazajutrz, więcéj się zbliży, pozna lepiéj. Na pierwsze wrażenie, mówił w duchu, nigdy się spuszczać nie można, ten natręt nie dał mi spokojnéj roli badacza podołać, byłem roztargniony, zobaczymy..

Nazajutrz dziadek Szczęsny przybył zabrać hrabiego o naznaczonéj godzinie.

— A cóż, spytał z uśmiechem, moja wnuczka? Co mówicie?

— Prócz uwielbienia, nic do powiedzenia nie mam.

— Kochany hrabio, dodał Szczęsny, takich kobiet dziś nie ma.. to istota wyjątkowa. Widzieliście ją w salonie, lecz nie domyślacie się, co to za gosposia pracowita, jak ona wszystko umie i jak się niczem nie brzydzi. Komu się ten skarb dostanie będzie szczęśliwy.

Hrabia milcząco potakiwał.

— Na pierwszy rzut, mówił z zapałem Szczęsny, śliczna laleczka salonowa, ale to najmniejszy z jéj przymiotów. Jest grunt, serce, jest miłość pracy i choć artystka całą duszą, co rzadko, rzeczywistość i jéj obowiązki rozumie doskonale.

Dziadek byłby mówił bez końca, bo się już zapalał, ale nielitościwy zegar wybił godzinę, ruszyli.

Elwira, jak wczoraj, tak i tego dnia występowała. Chciała nie zawstydzić opiekuna, a hrabiowskie imię, tytuł, stosunki także podziałały na nią, chciała pokazać, że wykwintnego życia warunki zna, i że ono nie jest dla niéj rzeczą nową. Ułożyła nadewszystko ten obiad w taki sposób, ażeby występ nie był widoczny, aby w nim nie czuć było wysiłku żadnego, aby się wydawał powszednim, a był wykwintnym. W domu też nie było o to trudno, a w mieście, to, co tak kłopotliwie zdobywa się na wsi, dostaje się z największą łatwością za pieniądze. Tych niepotrzebowała żałować Elwira. Obiad więc przygotowany wedle przepisu starożytnych, na niewielką liczbę osób, mógł być podpisanym choćby przez Chevet'a, jako odpowiedzialnego wydawcę.

Pani domu nie zrzucając żałoby, wzięła ją na ten dzień białą z czarnemi wstążkami i było jéj na inny sposób prześlicznie. Hrabia spojrzawszy na nią teraz po dniu, jeszcze mniéj dziwował się Gabrielowi, ale westchnął, mówiąc sobie w duchu: dla Pilawskiego pragnąłbym innego rodzaju ideału, cichéj, miléj, łagodnéj, kochającéj kobieciny, któréj by dom starczył i mężowska dłoń i kątek malutki, a spokojny. Jakby dla zatarcia wczorajszych wrażeń Elwira starała się być miłą, wesołą, swobodną, bo się jéj zdawało, że Greifer jak chmura na nią cień rzucił. Pani Sciańska, odgrywając swą rolę zwykłym sposobem, starała się być jak najmniéj widoczną i postrzeganą, szukała kątków, odpowiadała uśmiechami, ale oko jéj śledziło każdy ruch, wejrzenie, a ucho każde słówko w powietrzu łapało.

(d. c. n.)

DOMBEY I SYN

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

KAROLA DICKENSA.

(Dalszy ciąg).

— Zaraz panu opowiem jak do tego przyszło, ciągnął daléj Toots. Oto widzisz pan, odwiedzam od czasu do czasu pannę Dombey. Nie żebym się wybierał do niéj naumyślnie, ale tak oto, zdarza się często że przechodzę mimo jéj domu, a wtedy ma się rozumieć... wypada jakoś zajść do niéj.

— No tak, z saméj grzeczności potwierdził Cuttle...

— Właśnie. Otóż dziś po południu byłem tam na chwilkę i kiedy wychodziłem, panna Zuzanna wybiegła za mną do przedpokoju i tam dała mi tę gazetę, mówił daléj Toots, wyciągając ją z kieszeni. Powiedziała mi, że przez cały dzień ukrywała to pismo przed swoją panią z powodu zamieszczonéj tam wiadomości, dotyczącéj pewnéj osoby, którą ona i panna Flora dobrze znały. Przeczytała mi ów ustęp i dodała... ale poczekaj no pan .. co to ona takiego dodała?

Usiłując zebrać całą uwagę dla przypomnienia sobie tego co chciał opowiedzieć, Toost napotkał przypadkiem tkwiący w nim wzrok kapitana, czem tak mocno się przeraził, że zaledwie zdołał przypomnieć sobie dane polecenie.

— Otóż i przypomniałem sobie wszystko, rzekł po chwili. Powiedziała mi, że może to jeszcze nie prawda, że chciałaby się o tem wywiedzieć, ale boi się wyjść z domu, żeby się jéj pani czego nie domyśliła. Prosiła mię tedy, żebym poszedł do, pana Salomona Gillsa mającego sklep na téj ulicy i będącego wujem osoby o któréj mowa, dla dowiedzenia się od niego o prawdzie, w razie jeśliby co wiedział w tym przedmiocie. Dodała przytem, że jeślibym od niego objaśnień żądanych nie otrzymał, udzielić mi ich może kapitan Cuttle, a w takim razie możesz pan sam to załatwić.

Cuttle patrzał błędnym wzrokiem na papiery które Toots trzymał w ręku, w piersi brakło mu oddechu.

— Zapewne już pan czytałeś to doniesienie gazety, które tak przeraziło pannę Zuzannę?

Kapitan, który starannie unikał czytania dzienników z obawy, że lada dzień ujrzy się w pierwszym lepszym z nich ogłoszonym przez panią Mac-Stinger, potrząsł głową przecząco.

— Chcesz pan abym ci go przeczytał? spytał Toots.

Kapitan kiwnął głową na znak potwierdzenia, Toots więc przeczytał następującą wiadomość zamieszczoną pod rubryką morskich nowinek.

„Southampton. Okręt *Ostrożny*, przybyły dnia dzisiejszego do naszego portu. pod kierunkiem kapitana Henryka Jarmes, z ładunkiem cukru, kawy i rumu donosi że w czasie ciszy nastałéj szóstego dnia po jego odpłynieniu. z Jamajki, — majtek będący na straży, dostrzegł nad wieczorem szczątki rozbitego okrętu, pływające po powierzchni morza, o milę niespełna odległości. Wysłano tedy szalupę do zbadania zbliska co by to być mogło. Okazało się, że owe pozostałości pochodziły od brigu, który miał pięćset beczek objętości, jak to obliczyć było można z rozmiarów składowych jego części. Pomiędzy niemi znalazł się kawałek kadłub, na którym można jeszcze było wyczytać wyrazy: *Syn i Spadkobierca*. Żadnych zwłok nie znaleziono pomiędzy temi szczątkami. Dziennik okrętowy *Ostrożnego* zaznacza tę okoliczność, że następnego poranku nie było ich już widać, gdyż wiatr dosyć silny zerwał się w nocy. Tym sposobem ustają wszelkie wątpliwości co do okrętu *Syn i Spadkobierca*, który odpłynął był z Londynu do Barbadów i nie był dotąd nigdzie napotkanym; widać że zatonął w czasie ostatniej burzy, wraz z całą swą osadą.

Słuchając czytającego Tootsa, Cuttle patrzał nań osłupiałym wzrokiem. Potem wstał nagle z miejsca i nakładając na głowę ceratowy kapelusz, odszedł nieco i wsparł czoło o kominek i nie zmieniając postawy, dał znak Tootsowi aby na niego nie zwracał uwagi. Po kilku chwilach podniósl głowę i nasunąwszy kapelusz na oczy, otarł ręką twarz ogorzałą.

— Drogi mój Walterze żegnam ciebie, rzekł Jakżem kochał tego syna wybrańca mojego serca. Nie był on krwią moją i ciałem, a jednak tracąc go, czuję to co uczuwa ojciec tracący swe dziecię, a raczéj wszystkie swe dzieci. Tak jest — nie jedną tylko stratę w téj chwili ponoszę, nie jednego syna opłakuję. Gdzie się podział ów rumiany jasnowłosy studencik, którego psoty rozweselały co niedziela tę ubogą izdebkę? Gdzie ów raźny młodzieniec, tak pełen siły i zapału, a płoniący się jak panienka ilekroć w żartach naszych, mięszaliśmy imię jego z imieniem Florci? Gdzie to zacne serce, nie znoszące widoku smutku i zamyślenia starca, a nigdy sobą nie zaprzątnięte? Był on tem wszystkiem. Było w nim dla mnie kilku Walterów, równie drogich sercu mojemu; wszystkich z nim tracę i brzemię tylu nieszczęść odrazu na mnie spada!

Toots milczał, zajęty składaniem dziennika który trzymał w ręku.

— A ty biedaku, ty stary mój Solu, gdzie jesteś teraz? mówił daléj kapitan. Gdzie jesteś w téj chwili w któréj wszystko utracasz? Mnie on powierzył pieczę nad tobą; ostatnie jego słowa były: „Czuwaj nad moim wujem" a ja nawet nie wiem gdzie ciebie szukać dzisiaj! Cóż mogę mu odpowiedzieć, teraz kiedy z nieba żąda, bym mu zdał rachunek z opieki którą mi przekazał? Czym na to zasłużył, Gillsie, żebyś się wydalił oszukując mię w ten sposób? O mój biedny przyjacielu. jeśli tam gdzieś daleko przeczytasz to pismo, nie mając przy sobie nikogo coby chociaż znał twego Waltera, z pewnością rzucisz się w morze nie wahając się ani chwili.

Kapitan westchnął ciężko i pomilczawszy chwilkę w bolesnéj zadumie, mówił daléj zwracając się do Tootsa:

— Nie masz pan nic innego do powiedzenia pannie Zuzannie, jak tylko że okropna ta wiadomość jest niewątpliwie prawdziwą. Nie zdarza się aby żartowano w podobnych wypadkach. Szczegóły te są czerpane z dziennika okrętowego, a nie ma zaś w świecie źródła bardziéj wiarogodnego. Wyjdę jutro od rana na miasto. i postaram się dowiedzieć coś więcéj o tem, ale wiem zawczasu że nic pocieszającego nie usłyszę. Jeśli zechcesz tu zajrzeć jutro popołudniu, młodzieńcze, dowiesz się z czem wróciłem, ale możesz nie czekając na to, powiedzieć osobie która cię tu przysłała, że wszystko jest stracone nieodwołalnie stracone!

Tu kapitan zdjąwszy z głowy kapelusz, wyjął z niego chustkę, otarł nią głowę ruchem rozpaczliwym i włożył ją znowu na miejsce, z machinalną obojętnością najzupełniejszego znękania.

— O, wierzaj mi pan, rzekł Toots, czuję się bardzo zmartwionym. Na honor zaręczam, jakkolwiek nie znałem osoby którą pan opłakujesz, że podzielam całem sercem boleść pańską.

To rzekłszy, uścisnął serdecznie rękę kapitana i odszedł, usiłując pokryć ślady swego wzruszenia.

Zostawszy sam Cuttle długo patrzał nieruchomy w ogień, a gdy ostatnie jego blaski już zagasły, pozostał tak jeszcze, zapatrzony w pordzewiałą kratę kominka, myśląc o Walterze i o Gillsie i kojarząc te dwa wspomnienia we wrażeniu jednéj ogólnéj klęski. Późno już w noc, odszedł do swéj izdebki pod strychem, ale położywszy się, nie mógł zasnąć i nazajutrz rano, wstał bardziéj jeszcze smutny i pognębiony.

Wydawszy chłopcu rozkaz zamknięcia sklepu jak gdyby śmierć go nawiedziła, zabierał się właśnie do wyjścia, według uczynionéj Tootsowi obietnicy, kiedy z nagła zdrętwił go widok równie przerażający jak niespodziany. Pośród zamętu jaki boleść sprawiła w jego myślach, zapomniał o zachowaniu zwykłych środków ostrożności. Dziwnym zaś zbiegiem okoliczności, pani Mac-Stinger w wigilią dnia tego dowiedziała się o miejscu pobytu zbiegłego swojego lokatora, i teraz stała przed nim niby uosobienie pomsty, otoczona swemi dziećmi.

Cuttle zatrzymał się w miejscu skamieniały z oczami utkwionemi w owem widmie straszliwem.

— O kapitanie! o ty niegodny człowieku! wyrzekła grożąc mu pięścią wdowa, niecny ty człowieku, śmiesz patrzeć mi w oczy i nie schowasz się w ziemię od wstydu?

Kapitan byłby chętnie tego dokonał unikając widoku pani Mac-Stinger, gdyby tylko mógł znaleźć środek ku temu.

— Jakże dziecinną byłam, mówiła daléj wdowa z jednem zaprzeniem, gdy z takiem zaufaniem przyjęłam cię pod mój dach przewrotny kapitanie! Traciłam czas i pieniądze na starania około ciebie, na dogadzanie ci we wszystkiem, uczyłam swe dzieci, żeby cię jak ojca kochały, a ty tymczasem nie wstydziłeś się oszukać w ten sposób kobietę uczciwą, która pracuje dniem i nocą dla wyżywienia rodziny, kobietę porządną, trzymającą twoje ubogie gospodarstwo w takim ładzie i czystości, że jak mi Bóg miły, możnaby u niéj krajać mięso na schodach jak na talerzu! A ty tymczasem uciekasz jak jaki złoczyńca i przed kim? Przed słabą kobietą. Gdyby który z moich chłopaków dopuścił się czegoś podobnego, całe plecy jego byłyby jednym sińcem, świadczącym że umiem wykonywać matki obowiązek. Serce we mnie zamierało od niepokoju, przełknąć nie mogłam kawałka chleba, latałam jak warjatka po mieście myśląc sobie: pewnie umarł lub też jakie nieszczęście go spotkało! Ha! ha! ha! Umarł? No, ale dosyć już tego. Kapitanie, dodała zmieniając znagła ton mowy, koniec końcem, cóż z tego będzie? Wracasz czy nie, do domu?

Kapitan przerażony obracał w milczeniu swój ceratowy kapelusz, i patrząc w ziemię nie śmiał nawet ust otworzyć na swoje usprawiedliwienie.

— Więc cóż kapitanie Cutle, powtórzyła wdowa bardziéj jeszcze stanowczo, chcę wiedzieć raz czy wracasz ze mną do domu?

Kapitan znajdował się w téj chwili w położeniu przemytniczego statku, niespodzianie złapanego przez celników. Już był gotowym pozwolić się wziąść na linkę i powieść w niewolę, kiedy wzrok jego, posępnie ku ulicy zwrócony, napotkał tam jedyną w świecie osobę, mogącą mu być w tym razie wielką pomocą. Bezwiednie więc prawie, usta jego wydały stłumiony wykrzyk:

— Bunsby! chodź no tutaj!

Człowiek do którego było skierowane to rozpaczliwe odwołanie się, zwrócił poważnie głowę w stronę zkąd głos pochodził. Wzrok jego objął zimnem i szklistem wejrzeniem całą rodzinę Mac-Stingerów, nie wyłączając groźnéj matki rodu, potem zatrzymał się na twarzy Cuttla. Kapitan wiedział dobrze, że Bunsby nie miał sobie równego co do czynu jak do porady, a znając go od dawna, ani przypuszczał aby wyprobowany ów przyjaciel nie miał mu w tym razie dzielnie dopomódz.

Sama nawet wdowa zdawała się przeczuwać, że walka przybierała poważniejsze rozmiary. Twarz Bunsbyego przysłoniona także ceratowym kapeluszem, sprawiła na niéj wrażenie Orlanda przychodzącego w pomoc Oliwierowi. Bunsby miał na prawdę coś wielce potężnego w całéj postaci; kształty jéj przypominały prostokąt w większéj części swych szczegółów, najbardziéj zaś uwydatniały to podobieństwo szerokie szczęki, poruszającc się prawie zawsze u niego machinalnie, bądź to ze zwyczaju przeżuwania tytuniu, bądź w roztargnieniu milczących rozmyślań.

Ułożywszy plan swój, z powolną rozwagą świadczącą iż zasługiwał na położone w nim zaufanie, Bunsby zwrócił ster ku sklepowi, i jakkolwiek ściskając rękę kapitana, nie uczynił mu żadnego zapytania, widocznem było że już zrozumiał o co tu idzie właściwie.

— Poraz trzeci cię zapytuję, kapitanie Cuttle, czy zamierzasz powrócić do domu? wrzasnęła wdowa Mac-Stinger, grzmiącym głosem.

Bunsby uśmiechnął się i mrugnąwszy na nią z poufałym wyrazem twarzy dawnego znajomego, rzekł:

— Cóż to takiego, moja dobra pani? Uspokój się — proszę cię bardzo.

— Z jakiegoż prawa śmiesz mi rozkazywać? zawołała wdowa, tonem urażonéj godności. Czy mieszkałeś kiedy na Brigg-Place, pod numerem dziewiątym? Bardzo o tem wątpię. Jeśli mieszkałeś, to chyba za pani Jollson, która trzymała dom ten, zanim się do niego wprowadziłam. Bierzesz mię pan za nią, i to jedno tłomaczy zbytnią twoją poufałość.

Bunsby w miejscu odpowiedzi zbliżył się śmiało do wdowy i obejmując długą swą ręką jéj kibić, ku niewypowiedzianemu zdumieniu kapitana, szepnął jéj na ucho parę wyrazów które zdawały się mieć bardzo głębokie znaczenie, gdyż usłyszawszy je, opryskliwa jejmość łzami się zalała.

Zwycięstwo było zupełne i zanim pełnomocnik starego Sola, mógł zdać sobie sprawę z tego czego był świadkiem, zanim Rob przyszedł do siebie po wrażeniach trwogi i zdumienia, Bunsby odszedł uprowadzając imćpanią Mac-Stinger, za którą pośpieszyła cała jéj gromadka.

Uwolniony od widoku swéj prześladowczyni kapitan, skorzystał niezwłocznie z odzyskanéj swobody i poszedł dowiedzieć się o bliższych szczegółach co do rozbicia się okrętu Waltera. Niestety! usłyszał tylko potwierdzenie téj okropnéj wieści, powrócił zatem do domu tak znękany boleścią, że nie znalazł nawet siły rozpakować tłomok, który mu odniesiono z Brigg-Place w czasie jego nieobecności, prawdopodobnie za wszechmocnym wpływem przyjaciela.

Toots nie omieszkał przyjść do sklepu wieczorem, ale kapitan pogrążony w ciężkim żalu, zaledwie parę słów do niego przemówił. Odszedł tedy bardzo zasmucony, aby donieść Zuzi, że straszna wieść o Walterze aż nadto była prawdziwą.

XI.

W kilka dni po zdarzeniach wyżéj wzmiankowanych, Florcia zajęta czytaniem w swym pokoju, wstała zawiadomiona przez Zuzię, że pan Dombey pragnie z nią się zobaczyć.

— Jakto! więc ojciec powrócił? zawołała drżąca Flora. Powiadasz że chce widzieć się ze mną?

Pokojówka, niemniéj od swéj pani zmięszana, powtórzyła rozkaz Dombeya: Flora blada od wzruszenia idąc po schodach, zapytywała siebie czy się odważy uściskać ojca?

Gdy weszła do pokoju, w którym się znajdował Dombey, już się rzucić miała w jego objęcia, gdy niespodzianie ujrzała przy nim dwie jakieś, nieznane jéj panie. Była tak silnie wzruszoną, że zaledwie mogła trzymać się na nogach.

— Jak się miewasz, Floro? zapytał Dombey podając tak sztywnie rękę córce, że zdawał się iż raczéj chce ją odepchnąć jak obdarzyć uściskiem ojcowskiéj miłości. Florcia wzięła rękę, nieśmiało i pocałowawszy ją zaraz wypuściła z objęcia. Co zaś do Dombeya, dotknięcie ust córki nie sprawiło na nim więcéj wrażenia, jak dotknięcie klamki od drzwi które właśnie zamykał.

Flora rzuciwszy przelotne spojrzenie na obecne panie, spostrzegła, że jedna z nich była już w podeszłym wieku. Druga zaś, stojąca obok jéj ojca, uderzała swą pięknością i szlachetną postawą.

— Pozwoli pani Skewton, abym jéj przedstawił córkę moją Florę; rzekł, Dombey zwracając się ku starszéj z kobiet, wygodnie w krześle rozpartéj.

— Jaka ona śliczna! odezwała się pani Skewton przykładając szkiełko do oka. A przytem tyle prostoty!.. Moja droga Florciu, chodź że mię uściskać.

Flora usłuchała jéj wezwania a Dombey, zwróciwszy się ku młodéj kobiecie stojącéj przy nim, dodał:

— Edyto, oto jest córka moja. Floro, ta pani będzie wkrótce twoją matką.

Flora zadrżała i utkwiła w młodéj kobiecie spojrzenie, w którem łzy wywołane tem imieniem, mięszały się z wyrazem zdziwienia, nieokreślonéj jakiejś trwogi a zarazem podziwu dla cudnéj piękności istoty, którą miała przed sobą. Wreszcie, rzucając się z płaczem w jéj objęcia, zawołała:

— Ojcze! oby całe życie twoje jednem tylko szczęściem było!

Nastąpiła chwila milczenia. Młoda kobieta zawahawszy się przez chwilę, odpowiedziała z uczuciem uściśnieniu Flory, tuląc ją do siebie. Ucałowała bladą jéj twarzyczkę, ale nie wyrzekła do niéj ani słowa.

— Może panie raczą pójść ze mną obejrzeć odnawiające się pokoje? rzekł Dombey. Musimy zobaczyć jak się tam sprawiają nasi robotnicy.

To mówiąc, podał rękę pani Skewton, a Florcia ciągle jeszcze we łzach i przytulona do piersi pani Granger, została z nią w pokoju. Wkrótce potem usłyszano głos Dombeya, mówiący w sąsiedniéj oranżerji:

— Potrzeba zasięgnąć zdania Edyty. Ale gdzież jest ona?

— Edyto? kochanie moje, gdzież jesteś? zawołała pani Skewton. Pewnie szukasz pana Dombeya. Jesteśmy tutaj, moje dziecko.

Edyta uściskała raz jeszcze Florę i przeszła do dalszych pokoi. Młoda dziewczyna pozostała na miejscu, szczęśliwa i rozżalona, spłakana i uśmiechnięta zarazem. Po chwili, nowa jéj matka powróciła i wpatrując się czule we wzruszoną twarzyczkę dziewczęcia, zapytała szybko:

— Powiedz mi Florciu tylko szczerze, czy mogę mieć nadzieję, że mnie nie odrazu znienawidzisz?

— Ja? miałabym panią znienawidzieć? zawołała Flora zarzucając jéj z żywem uczuciem ręce na szyję.

— Cicho! drogie dziecię, szepnęła Edyta. Przedewszystkiem uwierz, że pragnę cię pokochać, że chcę abyś była szczęśliwą. Żegnam cię teraz Floro, a pamiętaj com ci powiedziała.

Wyrzekłszy to z pośpiechem, Edyta ucałowała raz

jeszcze Florę i złączyła się z matką i z Dombeyem, w sąsiednim pokoju.

Jakkolwiek wnętrze domu Dombeya straciło zwykłą swoją cechę powagi i milczenia, i wszystko tam było w ruchu niesłychanym od rana do późnéj nocy, tryb jednak życia Flory, pozostał jednakowym. Wieczorem, kiedy rzemieślnicy odchodzili po skończonéj robocie, stara siedziba stawała się po dawnemu milczącą i samotną. Słuchając głosów ich coraz słabiéj rozlegających się po schodach, Flora wyobrażała sobie gwarne ich choć ubogie pomieszkania, ożywione wesołością dzieci czekających powrotu ojców i doznawała pewnéj uciechy myśląc, że biedni ci ludzie powracając do domu tak wiele przybyciem swem przynoszą do niego radości.

Witała też ciszę wieczorną jak przyjaciołkę do któréj nawykła od dawna. Piękna pani która ją pieściła i pocieszała w tym samym pokoju gdzie niegdyś odepchnął ją ojciec, pojawiała się w jéj myśli jak anioł zesłany z nieba na jéj pociechę.

Myśląc o nowéj swéj matce z uczuciem miłości przepełniającem jéj zbolałe serce, kochała tem bardziéj pamięć téj którą nigdy opłakiwać nie przestała. Słodkie wyrazy wychodzące z ust pięknéj Edyty, były dla uszu dziewczęcia niby echem owego głosu, od tak dawna zamilkłego.

Pewnego dnia, Flora, porzuciwszy książkę którą czytała, myślała właśnie o uczynionéj przez panią Granger obietnicy odwiedzenia jéj, gdy niespodziewanie zobaczyła ją wchodzącą do pokoju.

— Matko! zawołała, podbiegając ku niéj z radością.

— Jeszcze nie jestem nią, odpowiedziała młoda kobieta, obejmując z poważnym uśmiechem szyję Flory.

— Ale wkrótce nią zostaniesz—wszak prawda? zapytała młoda dziewczyna.

— Prawda moje dziecko, odpowiedziała Edyta, i przytuliwszy twarz do twarzy Flory, pozostała tak przez chwil kilka.

— Czy byłaś ciągle sama Florciu, odkąd cię widziałam? spytała Edyta.

— Sama, moja dobra matko, odrzekła Flora cokolwiek zmieszana badawczem spojrzeniem Edyty, co prawda... nawykłam już do tego, dodała po chwili.

— To jest twoje mieszkanie, wszak prawda? rzekła Edyta rozglądając się w około siebie. Nie pokazano mi jak tu byłam tych pokojów. Urządzimy je Florciu i postaramy się żeby były najładniejsze z całego domu.

— Gdybym mogła wybrać sobie pokój, droga matko, rzekła Florcia, wolałabym mieć inny, znajdujący się o piętro wyżéj.

— Czyliż i tak nie mieszkasz już dosyć wysoko? spytała z uśmiechem Edyta.

— Zapewne, ale tamten pokój należał do mojego brata i dla tego tak go lubię. Byłabym ojcu o tem wspomniała kiedy się zabierano do odnawiania domu, ale....

Flora spuściła oczy, i mówiła daléj po małéj przerwie z pewną lękliwością:

— Ale bałam się go zasmucić, a ponieważ obiecałaś mi matko że tu wkrótce przyjdziesz, i że wiedziałam iż niedługo będziesz panią w tym domu, zdobyłam się na odwagę żeby cię o to poprosić.

Czarne oczy Edyty tkwiły w twarzy Flory, a gdy młoda dziewczyna napotkała bystry ich promień, odwróciła wzrok z pewnym rodzajem niepokoju. Wrażenia jakich doznawała w obecności przyszłéj matki, tak zmienne bywały, że sama nie umiała zdać sobie z nich sprawy. Jakkolwiek wyraz twarzy Edyty i obejście jéj kiedy z nią mówiła, pociągały coraz bardziéj Florę ku niéj, bywały jednak chwile w których piękne te rysy, zwykle tchnące tak serdecznem ciepłem, przybierały twardość i chłód marmuru. Przebijało w nich wtedy przykre jakieś zakłopotanie, nieledwie rzecby można upokorzenie. Tak jest, w pewnych chwilach, Florcia odkrywała wyraźnie to ostatnie uczucie; uwydatniało się ono właśnie teraz gdy usłyszała słowa: „będziesz wkrótce panią w tym domu" Przez czas jakiś spotkawszy spojrzenie Flory, pozostała zimną i milczącą, zamkniętą w sobie jak gdyby się lękała wszelkiego zetknięcia z tą, która miała wkrótce być dla niéj córką.

Z tem wszystkiem, przyrzekła najuroczyściéj Florze, że życzenie jéj co do zmiany pokoju zostanie spełnionem. Potem, rozmawiała z nią czas jakiś o Pawełku i wreszcie oznajmiła, że przyjechala zabrać ją do siebie.

— Mieszkamy teraz z matką w Londynie, rzekła, zostaniesz więc u nas do mojego ślubu. Chcę żebyśmy się pokochały Florciu i żebyśmy nabrały wzajemnego do siebie zaufania.

— Droga matko, jakże dobrą jesteś dla mnie rzekłą Flora. Ileż ci winna jestem wdzięczności!

—Chcę ci jeszcze powiedzieć, bo może lepszéj nie znajdę ku temu sposobności, rzekła Edyta oglądając się starannie czy przypadkiem kto nie podsłuchuje, że kiedy wyjedziemy z twoim ojcem w podróż po ślubie, życzę sobie abyś tu powróciła i przez ten czas pozostała. Nie masz powodu przebywać gdzieindziéj bezemnie. Lepiéj ci być samą, niżeli.... chciałam powiedzieć, że przyjemniejszą ci będzie samotność we własnym domu, niż w innym towarzystwie chćby najliczniejszem.

— O! tak, odrzekła Flora, powrócę więc chętnie do domu w dzień twojego wyjazdu, kochana matko.

— Uczyń to koniecznie, a teraz, drogie dziecię, wybieraj się jechać ze mną. Idę tymczasem obejrzeć dolne pokoje; przyjdziesz, skoro będziesz gotowa.

Czekając na Florę, Edyta przechadzała się wolnym krokiem i posępnie zadumana po wspaniałem mieszkaniu, którego miała wkrótce zostać panią, nie zwracając nawet uwagi na wytworność z jaką je dla niéj urządzano. Wzrok jéj przebiegał z roztargnieniem po najbogatszych sprzętach i ozdobach, a twarz zachowywała niezmienny wyraz pogardliwéj wyniosłości i lekceważenia tak wyraźnego, że zdawało się własną jéj nawet piękność w sobie obejmować.

Taką to jednakże duszę ujarzmiała i rozrzewniała do tyla Flora, siłą swéj miłości i zaufania, że przy niéj Edyta stawała się inną całkiem istotą, pełną tkliwości i pokory.

Przezacna pani Skewton, wcale czem innem jak uczuciami przez ten czas zaprzątnięta, wystarała się u jednego ze swoich krewnych będących naówczas w podróży, odstąpienia mieszkania położonego na Grosvenor-Square, dla odbycia tam weselnéj uroczystości.

Że zaś społeczne stanowisko tych pań wymagało w chwili tak ważnego aktu pewnéj wystawy, wypadło więc pani Skewton odwołać się do uprzejméj pomocy niejakiego bardzo zasobnego człowieka, o którym wiedziała od dawna iż zwykł był wszelkiego rodzaju przedmioty wypożyczać począwszy od srebra stołowego, aż do powozów i służących. Dzięki jego staraniom, dom pani Skewton został wkrótce postawiony na stopie całkiem przyzwoitéj. Miała kucharzy i lokajów wcale pokaźnie wyglądających, a nawet znalazł się na zawołanie białowłosy marszałek dworu, mający powierzchowność starego sługi i z tego względu wyższym procentem opłacony. Jednem słowem, w mgnieniu oka wszystko było na miejscu w całem pomieszkaniu, nie brakło nawet w stajni pary dobrych koni i świeżego powozu w wozowni. Załatwiwszy to wszystko, pani Skewton spoczywała na wygodnéj kanapie i nie mając już nic do czynienia, czekała powrotu córki.

— Jakże się miewa moja prześliczna Florcia? zawołała widząc tę ostatnią wchodzącą z Edytą. Niechże cię uściskam, drogie dziecię moje.

Flora pochyliła się nieśmiało ku pani Skewton, szukając dla ust swoich miejsca do pocałowania, ale pani ta, wybawiła ją z kłopotu, podając ucho jako wolne od wszystkich dodatków sztuki kosmetycznéj.

— Wiesz już zapewne, drogie dziecię moje, zaczęła mówić pani Skewton z najczulszym wyrazem twarzy, zatrzymując rękę młodéj dziewczyny, że zacny twój ojciec ma poślubić kochaną moją Edytę w przyszłym tygodniu?

— Wiedziałam że to ma wkrótce nastąpić, odpowiedziała Flora, ale dzień nie był mi wiadomy.

— Czemużeś jéj tego nie powiedziała, moja kochanko? rzekła pani Skewton do córki z uśmiechem.

—A na cóżby się jéj przydała ta wiadomość? odparła Edyta tonem tak ostrym, że Florcia zaledwie w nim poznała dźwięk jéj głosu. Pani Skewton przygryzła wargi i zwróciwszy się do Flory oświadczyła, iż ojciec jéj którego przybycia na obiad oczekiwała, ucieszy się bardzo spotkawszy ją tutaj tak niespodziewanie. Dowiedziawszy się o tem, Flora struchlała i w miarę jak chwila przybycia ojca się zbliżała, trwoga jéj i pomięszanie tak się zwiększały, że gdyby mogła uciekłaby pieszo sama jedna do domu, byleby tylko nie narazić się na skutki jego niezadowolenia.

Im bardziéj czas upływał, tem dotkliwszą stawała się jéj niespokojność. Nie śmiała przybliżyć się do okna, lękała się wyjść do drugiego pokoju, pozostała tedy w miejscu i siedząc obok pani Skewton, usiłowała odpowiadać jako tako na nieustanne jéj pytania. Wtem usłyszała w drugim pokoju szelest stąpania po posadzce.

— To on! już idzie! zawołała cała drżąca zapominając o wszystkiem w swem przerażeniu.

Pani Skewton, zawsze zajęta tylko sobą, nie zwróciła nawet uwagi na trwogę Flory, że zaś udając wiecznie młodą lubiła i figielki młodości, w mgnieniu oka schowała Florę za kanapę i narzuciła na nią szal, czyniąc ją całkiem niewidzialną.

Bankier skłonił się poważnie obu paniom. Gdy je witał, głos jego miał dźwięki które zdziwiły i wzruszyły Florę.

— Jakże się miewasz, kochany Dombeyu? odezwała się do niego pani Skewton. Cóż się dzieje z twoją śliczną Florcią?

— Dziękuję pani, córka moja w dobrym jest zdrowiu, odpowiedział, zbliżając się do kanapy.

— Zostawiłeś ją w domu?

— Tak jest, w domu.

— Czy się tylko w tym razie nie mylisz, mój kochany Dombeyu? zawołała pani Skewton z żywością pełną wdzięku. Nie wiem co ze mną zrobi Edyta za to co powiem, ale oświadczam najuroczyściéj, że mam ciebie, mój przyszły zięciu, za najmniéj wiarogodnego na świecie człowieka.

Gdyby to co twierdziła pani Skewton było rzeczywistością, z pewnością nie więcéj okazałby się zmięszanym, jak gdy za odrzuceniem szalu zakrywającego Florę, ujrzał ją przed sobą drżącą, pomięszaną i bladą jak widmo. Zanim przyszedł do siebie, uczuł oplatające mu szyję ręce córki, która rzuciwszy się ku niemu, uściskała go namiętnie, a potem z cichem łkaniem uciekła z pokoju. Gdy opamiętawszy się nieco, spojrzał w około siebie, nie znalazł już w salonie Edyty, która wyszła zaraz za Florą.

— Przyznajże teraz, mój drogi Dombeyu, rzekła figlarnie pani Skewton podając mu rękę, że nie miałeś w życiu milszéj niespodzianki.

— Z pewnością, nie pamiętam żeby mię co bardziéj zdziwiło, odpowiedział.

— Bardziéj i przyjemniéj, — wszakże prawda? odrzekła pani Skewton, bawiąc się wachlarzem.

— Zapewne... bardzo rad jestem... że tu napotykam Florę, odpowiedział Dombey.

—I myślisz nad tem w jaki sposób się tu dostała? Cóż czy nie odgadłam?

— Myślę, że może Edyta...

— Tak, Edyta mój kochany Dombeyu, domówiła pani Skewton, Edyta bowiem, gdy nie może twojem cieszyć się towarzystwem, to pragnie chociaż patrzeć na cośkolwiek co jest bliskiem twego serca. Cóż bardziéj naturalniejszego jak podobne uczucie? Ono to było powodem, że dziś rano przywiozła z sobą drogą naszą Florcię, i tak to się ułożyła rozkoszna owa niespodzianka.

— W saméj rzeczy, rozkoszna jak nie można bardziéj, odrzekł bankier wzdychając.

— O niech ci Bóg wynadgrodzi za ten objaw uczucia, kochany Dombeyu, zawołała pani Skewton, ściskając jego rękę bardzo serdecznie. Ale dosyć już o tem. Bądź teraz tak dobrym i podaj mi twe ramię, musimy przecię zobaczyć co nam dziś przygotował, ten mój niezdara kucharz.

Pani Skewton podniosła się dosyć żwawo z kanapy. Dombey podawszy rękę, poprowadził ją po schodach i wszedł do jadalnéj sali.

Edyta i Flora już się tam znajdowały i u stołu usiadły obok siebie. Za wejściem ojca, Flora chciała ustąpić mu swego miejsca, ale Edyta zatrzymała ją przy sobie, i Dombey zmuszony został zająć miejsce na przeciwnéj stronie stołu.

Podczas obiadu, pani Skewton wyłącznie prawie podtrzymywała rozmowę. Flora zaledwie oczy podnieść śmiała, bojąc się aby w nich śladów łez nie dostrzeżono. Edyta ograniczała się jedynie na odpowiadaniu na czynione jéj zapytania.

Gdy ostatnie danie było już na stole i służba wyszła z pokoju matka Edyty rzekła:

— Tak więc, wszystkie przygotowania twoje są już na ukończeniu, kochany Dombeyu, wszakże prawda? Podobno nawet i akta już spisane?

— Tak jest pani, zawiadomiono mię że intercyza już gotowa a teraz, dodał zwracając się ku narzeczonéj, zależy tylko od pani oznaczenie dnia ślubu.

Edyta, zimna i sztywna, stała się w milczeniu podobna do pięknego posągu.

— Dziecię moje kochane, rzekła pani Skewton, czy słyszysz co mówi pan Dombey?

— Nie mam nic do powiedzenia, rzekła Edyta. Ślub odbyć się może w terminie przez pana oznaczonym, co jego woli zupełnie zostawiam.

Mówiąc to zaledwie spojrzała na Dombeya, jakby ją przedmiot rozmowy nic a nic nie obchodził.

— Może więc jutro? zapytał nieśmiało Dombey.

— Zgadzam się na każdy dzień, który pan uznasz dla siebie za dogodniejszy.

— Może wolałabyś pani, żeby ślub pojutrze się odbył, bo być może że jutro masz pani jakie zajęcia?

— Żadnych zajęć nie mam tak pilnych i w każdéj chwili jestem gotowa na pańskie rozkazy.

— Jakże możesz mówić że nie masz zajęć, droga moja Edyto, przerwała jéj matka, kiedy przez dzień cały tak zajęta jesteś tłumem kupców i rzemieślników wszelkiego rodzaju?

— Zajęcia te, odpowiedziała marszcząc z lekka brwi Edyta, ty sama tworzysz w około mnie matko, i w zastępstwie mojem z łatwością dokończysz to co jest jeszcze do zrobienia.

— Masz w tem słuszność jak zawsze, kochana moja Edyto, rzekła pani Skewton, a ty Florciu daj mi swéj ślicznéj buzi do pocałowania.

W pojęciach Dombeya, oświadczenie pięknéj jego narzeczonéj nie zasługiwało bynajmniéj na naganę. Chłodna jéj wyniosłość była raczéj zaletą w jego oczach, poznawał w niéj bowiem pokrewne swemu usposobienie; miłość zaś własna jego była przyjemnie łechtaną tem, że kobieta tyle dumna uznawała jednak jego przewagę i gotowa zawsze była jéj się poddać. Wyobrażał sobie z upodobaniem piękną i wspaniałą Edytę, królującą wśród jego salonów i przyjmującą gości z tą samą majestatyczną godnością, która go tak zachwycała.

Takim to myślom oddawał się narzeczony Edyty, podczas gdy zostawszy sam u stołu, zastanawiał się nad przeszłem i nad przyszłem swem położeniem. Miejsce w którem się znajdował sprzyjało poważnemu temu zadumaniu. Na tle ciemnego obicia pokoju, odznaczały się tu i owdzie poczerniałe ramy obrazów, także ciemnéj po większéj części barwy, równie jak materja pokrywająca krzesła, przy którój, srebrne świeczki całkiem żałobnie odbijały. Na pierwszy rzut oka, wszystkie te krzesła rzędem na dywanie poustawiane, koniecznie trumny do myśli przywodziły. Dwóch wychudłych murzynów z brązu dźwigało staroświeckie świeczniki stojące na kominku, z którego ogniska, od dawna wygasłego, wiała pleśń grobowa. Właściciel tego pomieszkania częste odbywał podróże, bo klimat Anglji mało któremu z członków rodziny Feniksów bywał zdrowym na czas dłuższy. Opustoszała zatem najczęściéj owa komnata przybierała postać coraz bardzéj posępną, aż wreszcie stała się tak żałobną, że brak w niéj było tylko trupa aby uzupełnić jéj podobieństwo z grobową kaplicą.

Dombey którego sztywność nieruchoma dosyć dobrze brak ów zapełniła, patrzał zadumany na stół stojący przed nim z całą jeszcze zastawą. Marzył o Edycie, tak pięknéj i tak wyniosłéj, i widział ją z upodobaniem w całym majestacie jéj urody. Ale przy niéj stała Flora, nieśmiało wzrok ku niemu zwracająca, blada, tak jak była gdy śpiesznie z pokoju wybiegła. Edyta patrzała na nią i ręką ku niéj wyciągniętą, zdawała się chcieć ją osłaniać. Potem, w dalszym ciągu swych marzeń, Dombey widział drobną ludzką postać, siedzącą w krzesełku i przypatrując mu się oczami w których, jak dawniéj, igrały odblaski ognia, z wyrazem zdziwienia na swéj dziecinnéj, a zarazem postarzałéj twarzyczce. Ale wkrótce obraz Flory zastąpił znowu Pawełka w wyobraźni Dombeya, i zwrócił ku sobie całą jego uwagę. Czy mu się córka przedstawiała w téj chwili jako przeszkoda w spełnieniu jego zamiarów, czy jako współzawodniczka mogąca po raz drugi odnieść nad nim zwycięztwo? Czy też w przededniu zawarcia przez ojca powtórnego związku, przychodziła domagać się tem usilniéj o swe prawa do jego serca? Tego powiedzieć nie umiemy, a być może że wśród zamętu myśli swoich, sam Dombey nie zdołałby jasno swych wrażeń w tym względzie określić. To tylko wiedział, że pośród rozlicznych obrazów, przedstawiających mu raz weselne uroczystości, to znów zadowolenie dumy i wzrastanie jego bogactw, postać Flory przesuwała się nieustannie, a uporczywość z jaką wiecznie powracała tak go wreszcie zmęczyła, że wstał i wyszedł, chcąc nadać myślom inny kierunek.....

Żegnając panie, bankier okazał się dosyć łaskawie usposobionym dla córki. Florcia odeszła do gabinetu Edyty, gdzie miała przenocować, tak uszczęśliwiona i pełna najlepszych nadziei, że myśląc o swéj przeszłości, widziała w niéj jakby życie innéj istoty, opuszczonéj od wszystkich i godnéj największego politowania.

Według uczynionéj ostatecznie umowy, ślub miał się odbyć za tydzień.

Ostatni wieczór przed ślubem już nadszedł, a że ból głowy pani Skewton nie ustawał nie podano zatem światła do salonu, gdzie już znajdował się także Dombey i Edyta. Ta ostatnia wsparta na oknie patrzyła w ulicę, podczas gdy przyszły mąż jéj rozmawiał cicho z matką. Flory nie było w salonie.

— Kochany Dombeyu, mówiła pani Skewton, wszakże mi jutro zostawisz Florcię skoro zabierzesz moją ukochaną Edytę?

Dombey zgodził się bardzo chętnie uczynić zadość woli swéj przyszłéj świekry.

— Pragnę ją mieć przy sobie podczas gdy będziecie w Paryżu, mówiła daléj pani Skewton, chcę pocieszać żal mój i osamotnienie pracą około rozwijania młodocianego jéj umysłu. Będzie to dla mnie jedyną możliwą rozrywką.

Edyta odwróciła się znagła od okna. Postawa jéj dotychczas obojętną, zmieniła się w jednéj chwili i wyrażała najżywsze zajęcie. Ukryta w cieniu, młoda kobieta słuchała z natężoną uwagą dalszego ciągu rozmowy.

Dombey odpowiedział, że szczęśliwym będzie zostawiając córkę pod taką opieką.

— Dziękuję ci z całego serca, Dombeyu, za tak dobre o mnie mniemanie, odpowiedziała pani Skewton. Bałam się abyś mnie nie skazał na zupełne osamotnienie.

— Dla czegoż osądziłaś mię pani tak niesprawiedliwie?

—Dla tego, że śliczna moja Florcia zapewniła mię, że musi jutro powrócić do domu.

— Zaręczam panią, że Flora nie otrzymała na to żadnego odemnie rozkazu, a gdyby nawet tak było, wola moja ustąpiłaby w obec pani życzenia.

— Cóż to za ugrzeczniony z ciebie dworak mój Dombeyu! Ale nie, źle się wyraziłam, bo dworakom zbywa zwykle na sercu, twoje zaś uwydatnia się w każdym czynie, w każdéj chwili świetnego twego zawodu. Czy naprawdę już chcesz nas opuścić?

Dombey odpowiedział, że pora była bardzo spóźniona.

— Ach! jestże to na prawdę rzeczywistością czy też senną marą tylko? zawołała z westchnieniem pani Skewton. Mogęż temu uwierzyć że jutro powrócisz tu na to, aby mi zabrać drogą moją towarzyszkę, że te chwile są ostatnie jakie z nią przepędzam.

Dombey nawykły brać rzeczy dosłownie przypomniał pani Skewton, że miała przepędzić jeszcze z córką większą część dnia następnego.

— Dotkliwe to cierpienie, ciągnęła daléj, oddawać w ręce małżonka dziecię ukochane, choćby nawet ów małżonek był tem, czem ty jesteś Dombeyu. Cierpienie to w połączeniu z osłabieniem mojego zdrowia, i z kłopotami jakich mi przysporzył ten oszust traktjernik u którego obstalowałam śniadanie, przemogło wątłe moje siły. Nie lękaj się jednak o mnie, potrafię być mężną jutro. Zwróć no ku nam główkę kochanko, zawołała znagła figlarnie do Edyty, ktoś, zabiera się odejść.

Edyta, która odkąd rozmowa przestała być dla niéj zajmującą, odwróciła się znowu ku oknu, wstała słysząc te wyrazy, ale nie zbliżyła się ku Dombeyowi i nie przemówiła do niego ani słowa. On podszedł ku niéj z grzecznością, któréj wymagania obecnego jego położenia nie ujmowały ani trochę napuszystéj powagi, i pocałował jéj rękę, mówiąc.

— Jutro rano będę miał szczęście dopomnieć się o tę rękę, pani Dombey.

To rzekłszy, wyszedł miarowym krokiem bardzo uroczystym.

Edyta, która dotąd siedziała przy oknie, wpatrując się nieprzerwanie w ciemności ulicy, wstała z miejsca zostawszy sama z matką, i stanęła przed nią topiąc w niéj wzrok, którego ponure blaski wywołały na zżółkłą i pomarszczoną twarz pani Skewton wyraz żywego niepokoju.

— Posłuchaj co ci powiem, matko, rzekła Edyta z pogardą, któréj na ten raz nie starała się nawet zastąpić szyderstwem. To co ci powiem masz spełnić bez żadnego wahania.

— Jakto, bez wahania?

— Tak jest, a gdybyś się na to zgodzić nie chciała, przysięgam ci na to nazwisko. które mam sobie jutro przywłaszczyć prawem kłamstwa i obłudy że u stóp ołtarza odrzucę rękę tego człowieka. Wiesz matko że umiem słowa dotrzymywać.

Pani Skewton spojrzała z trwogą na córkę i zbladła, a nawet przeraziła się spojrzeniem które napotkała.

— Dosyć tego że się obie stałyśmy czem jesteśmy, mówiła daléj stanowczo Edyta; nie życzę sobie aby dziecię niewinne stanęło na równi ze mną. Niechcę aby dusza dotąd czysta, została zepsutą.... Powtarzam raz jeszcze: Flora nie może tu pozostać.

— Jesteś dziwnie nierozsądna, zawołała pani Skewton w największym gniewie. Czyż nie pojmujesz, że nie będziesz miała w domu ani chwili spokoju, dopóki ta dziewczyna za mąż nie pójdzie?

— Zapytaj mnie naprzód matko, albo też zapytaj siebie, czy mogę spodziewać się znaleźć spokój w tym domu?

— I ty śmiesz Edyto, mówić mi to wszystko dzisiaj, kiedy skutkiem tylu moich trudów i zabiegów, masz nareszcie stać się bogatą i niezawisłą! krzyknęła w najwyższéj zapalczywości matka, któréj trzęsąca się głowa drżała jak liść ze wzruszenia. I ty śmiesz mi powiedzieć, że jestem tak złą, iż nie przydam się nawet dziecku za towarzyszkę? Czemże ty sama jesteś co mię sądzisz w ten sposób?

Twarz Edyty stała się śmiertelnie bladą.

— Siadując tam, rzekła wyciągając rękę ku oknu, nieraz sobie to pytanie zadawałam, a gdy widziałam słaniającą się w cieniu istotę, będącą już tylko zwiędłem widmem kobiety, wtedy zdawało mi się że słyszę odpowiedź. Bóg widzi że mówię prawdę. Matko, gdybyś mi była choćiaż serce zostawiła gdy miałam lata tego dziewczęcia, gdybyś go była nie zatruła śmiertelnym jadem fałszu i obłudy, nie zostałabym tem, czem dzisiaj jestem!....

Czując że gniew na nic się tu nie przyda, pani Skewton powstrzymała wybuchy swego uniesienia, i stając się naraz bardzo czułą, rozpłakała się rzewnie. Ubolewając gorzko nad własną dolą zapewniała, że wolałaby umrzeć młodo niż doczekać podobnych pogróżek i upokorzenia od córki, wyzutéj z wszelkiego uczucia wdzięczności.

— Gdyby mi przyszło żyć dłużéj wśród scen podobnych, mówiła głosem przerywanym łkaniem, tobym chyba postarała się skrócić to nędzne moje życie. I to od ciebie córko moja, mam słyszeć podobną wymówkę?

— Zdaje mi się matko rzekła posępnie Edyta, że pora wymówek dawno dla nas minęła.

— Czemuż więc do nich powracasz? odpowiedziała płacząc pani Skewton. Wszakże wiesz jak boleśnie ranisz moje serce, obchodząc się ze mną w taki sposób w chwili, gdy wszystko o mnie się opiera, gdy muszę myśleć żebyśmy wystąpiły odpowiednio, do obecnego położenia.

Nie zważając na jéj łzy i westchnienia, córka rzuciła znowu to samo spojrzenie pełne stanowczéj woli co pierwéj, i rzekła głosem spokojnym którego dźwięki nie zabrzmiały ani razu silniéj w czasie rozmowy:

— Postanowiłam że Flora powróci do domu.

— A niech sobie powraca! zawołała na prawdę już zasmucona i zatrwożona pani Skewton. Z chęcią na to przystaję. Cóż mię może obhodzić ta dziewczyna?

— Ale mię ona obchodzi, odparła Edyta, i obchodzi mię tyle, że gdyby z mojéj przyczyny miano jéj serce tak zepsuć jak moje, to wyrzekłabym się ciebie matko, a nawet wyrzekłabym się *jego* gdybym już nawet stała u stóp ołtarza. Zostaw więc matko w pokoju to dziecię, bo dopóki to będzie w mojéj mocy, nie pozwolę nigdy, aby je napojono radami i pojęciami których stałam się ofiarą. Warunek ten nie wydaje mi się zbyt trudnym do wykonania, gdyż samo cierpienie jakiego w téj chwili doznaję, daje mi prawo do postawienia go tobie matko jako objawu méj woli, którą można przyjąć a nigdy odrzucić.

— Gdybyś to uczyniła była w sposób przyzwoitszy, Edyto, nie znalazłabym i ja go uciężliwym, ale podobny brak względności.

(d. c. n).

POGADANKI NAUKOWE.

DZIEJE WĘGLA

OD

FORMACYI WĘGLOWEJ AŻ DO NASZYCH CZASÓW.

(Dalszy ciąg).

V.

Nie mamy zamiaru opisywać wszystkich związków węgla, ich własności, użytków, sposobu otrzymywania, bo byłby to przedmiot za rozległy na szczupłe ramy naszych pogadanek, przemilczając więc związki ważne jedynie pod względem naukowym, pomówimy tylko o najważniejszych, zastosowanych do przemysłu i handlu.

Zaczniemy od najważniejszego, najwięcéj się wytwarzającego, tak naturalnie jak sztucznie, to jest od *kwasu węglanego.*

Kwas węglany jest gazem bezbarwnym i bez zapachu, zawarty jest zawsze w powietrzu od którego jest cięższy. W zwykłym stanie stanowi gaz bez koloru, nie zdatny do oddychania a nawet duszący, nie palny i nie utrzymujący palenia i gaszący zapalone ciała. Jeśli ciało płonące zanurzymy w naczyniu napełnionem kwasem węglanym, niezawodnie zgaśnie. Dla sprawdzenia tego weźmy szklanną probówkę i zanurzmy w niéj zapaloną świecę, będzie się ona palić czas jakiś, ale powoli płomień zacznie się zmniejszać, aż wreszcie zgaśnie. Wysuńmy wówczas świecę i nie przemieszczając probówki, nalejmy do niéj wody w której rozpuszczone jest wapno, a płyn ten przezroczysty stanie się niebawem mętny i białawy. Ujrzemy substancję białą, nierozpuszczalną, to jest kredę, zwaną przez chemików *węglanem wapna.* Materja ta powstaje ze związku *kwasu węglanego* wytworzonego przez palenie się świecy. z rozpuszczonem uprzednio w wodzie *wapnem.*

Jeśli chcemy zrobić świetniejsze doświadczenie, napełnijmy słój szklanny tlenem i zanurzmy w nim kawałek rozżarzonego węgla drzewnego, a natychmiast ów węgiel który na powietrzu zaledwie tlił się, zajaśnieje płomieniem, i tak błyszczeć będzie dopóką nie spali się zupełnie. Po skończonem doświadczeniu spostrzeżemy wytworzenie się gazu, zarówno jak i w pierwszem doświadczeniu.

To drugie doświadczenie jest prostsze od pierwszego. Mieliśmy tylko węgiel i tlen, otóż obydwa znikły, a miejsce ich zajął gaz nazwany *kwasem węglowym*, czyli wyrażając się naukowo, nastąpiła *kombinacja* węgla i tlenu. I najściślejsze poszukiwania nie wykryją najmniejszego śladu węgla lub tlenu, oba ciała ukryły się w łonie dokonanego związku.

Chcąc mieć dobre wyobrażenie o związku tych dwóch ciał, wystawmy sobie tak doskonałe połączenie dwóch istot, aby w dwóch jakto mówią ciałach jedna zamieszkała dusza, a każda tak doskonale zaparła się siebie, swych uczuć, upodobań i pojęć, iżby utworzyły harmonijną jedność, w której wszelka indywidualność zupełnie się zatarła, i oboje w jedną nierozerwalną zamieniły się całość, słowem aby, jak to pięknie powiedział Kraszewski w swéj cudnéj fantazji *Pod włoskiem niebem,* piorun coby ugodził w jedno zabijał oboje—a potem w miejscu dwóch takich istot podstawmy dwa ciała z ich szczególnemi własnościami i przymiotami, i wystawmy sobie że podobny zawarły związek, a wyrobimy sobie właściwe pojęcie o *kombinacji.*

Gdybyśmy dwa tak skombinowane ciała, choćby na najdrobniejsze podzielili cząsteczki, zawsze skład ich będzie zupełnie taki sam jaki był w całości. Najdoskonalszy drobnowidz nie wykaże ciał składowych, i zawsze przedstawiać nam się będzie najzupełniejszą jednością, której własności i przymioty będą zupełnie inne od własności i przymiotów ciał *skombinowanych....*

Zastosowawszy cośmy powiedzieli wyżéj do węgla i tlenu, pojmiemy wytworzenie się z ich kombinacji *kwasu węglowego.*

Zatem sprzecznie z węglem i tlenem, które są ciałami *prostemi*, kwas węglany jest ciałem *złożonem.* Dziś chemja na tak wysokim stanęła stopniu, iż na mocy analizy możemy zniweczyć kombinację i rozłożyć wszelkie ciała złożone, ale jeśli te same doświadczenia powtórzemy z ciałami prostemi, pozostaną zawsze jednakowe i też same. Choćbyśmy poddawali węgiel wszelkim możliwym próbom rozkładu. zawsze pozostanie węglem, kiedy tymczasem łatwo rozłożyć kwas węglany na węgiel i tlen.

Kwas węglany jest gazem bezbarwnym, a tem samam niewidzialny, zatem chcąc wykazać jego obecność trzeba uciekać się do powyżéj wskazanych doświadczeń. Jest cięższy od powietrza. W niektórych miejscach wydobywają się z głębszych warstw ziemi strumienie kwasu węglanego, powstającego z rozkładu materji zawierających w sobie węgiel. Gdy w okolicach wulkanicznych zostaną wykopane otwory znacznéj głębokości, daje się w nich słyszeć szelest wywiązującego się gazu, zbiera on się także często na spodzie studni i kopalń, gdzie bywa przyczyną nieszczęśliwych wypadków. Pod Neapolem jest jaskinia zwana *Psią Grotą* w której kwas węglany wychodzący z ziemi, tworzy na dole warstwę na parę stóp wysoką po nad niem czyste unosi się powietrze. Jeśli pies wejdzie do téj groty natychmiast pada uduszony, ludzie zaś mogą przebywać w niéj bez niebezpieczeństwa, gdyż głowa ich jest znacznie wyżéj niż warstwa kwasu węglanego. Doświadczenie to dowodzi, że kwas węglany może zagrażać życiu. Długo myślano, że wywierał niszczący wpływ na organizm, później jednak przekonano się, że nie ma własności trujących, jak niemal wszystkie inne gazy, z wyjątkiem tlenu. Zadusza gdyż nie jest zdolny utrzymywać życia, ale nie oddziaływa trująco jak inne jadowite gazy.

Jeśliby warstwa kwasu węglanego dochodziła tak wysoko jak głowa człowieka, zadusiłby się także: dla tego jeśli ktoś zapuszcza się w podobne miejsca, powinien zachować tę ostrożność, aby spuścił pierwéj otwartą latarnię lub trzymał przed sobą na długich kijach zapalone świece. Jeśli światło gaśnie, dowód to że i życie ludzkie byłoby w niebezpieczeństwie. Można jednak łatwo oczyścić powietrze w podobnych miejscowościach, wzbudzając krążenie a przez to i odświeżenie, przez wentylację, albo przez zapuszczenie tam rozpalonych węgli w drucianych koszach. Można także użyć ku temu celowi środków chemicznych, mających własność pochłaniania kwasu węglanego. Najprędzéj działa pokrapienie amonią gryzącą *(amoniak)*.

Najlepszym dowodem że gaz węglany nie jest trującym jest to, iż człowiek może żyć w atmosferze zawierającéj $\frac{1}{5}$ część kwasu węglanego, a podobna ilość jadowitego gazu zawsze śmierć powoduje, wytwarza się on ciągle w organizmie ludzkim, krążąc tam unoszony przez krew. Nie jest trującym ale zaduszającym.

Kwas węglany rozpuszcza się w wodzie i udziela jéj przyjemny smak nieco kwaskowaty, orzeźwiający. Wszelka woda znajdująca się na wolnem powietrzu, zawiera w rozpuszczeniu nieco kwasu węglanego. Jeśli w ziemi źródła wodne spotykają się ze źródłami kwasu węglanego, wody ich pochłaniają znaczną część tego gazu i nazywają się wtedy wodami *kwaśnemi* albo *szczawami*, taka jest n. p. selcerska i wiele innych. W temperaturze 12° R. woda rozpuszcza równą sobie objętość kwasu węglanego, pod wyższem jednak ciśnieniem, jest w stanie rozpuścić nierównie większe ilości tego gazu. Na téj zasadzie polegają przyrządy do wyrabiania stucznych *szczawiów* czyli *napojów gazowych*. W tym razie sztuka naśladuje działanie natury.

Z kolei zastanówmy się nad wytwarzaniem kwasu węglanego. Otrzymuje go się z kredy czyli węglanu wapna, oblewając go jednym z mocniejszych kwasów n. p. kwasem solnym, którego naukowa nazwa jest *kwas chlorowodorny*. Kwas węglany zostaje wydzielonym ze związku i uchodzi w postaci pęcherzyków, sprawując silne *wzburzenie*.

Można zamiast *węglanu wapna* użyć *węglanu sody*, a zamiast *kwasu chlorowodornego kwasu winnego*. Te dwie substancje mają tę wyższość iż są nieszkodliwe, i co więcéj stałe.

Kwas węglany jest nadzwyczaj rozpowszechniony w przyrodzie, wywiązuje się nieustannie z wulkanów czynnych i zagasłych, z kopalni węgla, z opuszczonych kopalni kamieni i z najróżnorodniejszych fermentacji. W powyższym razie jest on zawsze wolny i odosobniony, ale w wielu innych bywa skombinowany z wielu substancjami, a szczególniéj z wapnem. Ztąd powstaje *węglan wapna* który tworzy całe pokłady, *stalaktyty* i *stalogmity* grot, skorupy różnych mięczaków i licznych zwierzokrzewów, kości zwierząt i ludzi itd.

Kwas węglany, mocno ściśniony w stosownych przyrządach, zamienia się na ciecz i przedstawia wejrzenie wody, ale nie daje się zachować w tym stanie na wolnem powietrzu, gdyż wtedy ulatnia się nadzwyczaj prędko, a przytem pochłania tak wiele ciepła iż sprawia tak wielkie zimno, że w niem zamarza część skroplonego kwasu, i staje się podobną do śniegu.

Pod tą postacią i pomięszany z eterem, kwas węglany sprawia największe znane obniżenie temperatury, gdyż może ona dojść do 110 stopni niżéj zera. Jeśli położymy na ręku śnieg wytworzony z kwasu węglanego, doznamy podobnego uczucia, jak gdybyśmy dotknęli się sztaby rozpalonego żelaza, i takież skutki jak rozpalone żelazo wywiera on na skórę.

Tlenek węgla jest bliskim bardzo krewnym kwasu węglanego. Tworzy się także z wodoru i węgla, ale zawiera mniéj wodoru. Jest to gaz duszący i trujący zarazem. Mała jego cząstka zawarta w powietrzu powoduje już gwałtowny ból głowy i odurzenie, większa bywa przyczyną zaczadzenia. Jest to wróg tem straszniejszy, iż niczem nie zdradza swéj obecności, ponieważ jest bezbarwny i niewidzialny. Gaz ten pali się pięknym niebieskim płomieniem, jaki możemy dostrzedz w dolnéj części płomienia świecy i przy paleniu się węgli w zwyczajnych piecach i kominkach. Przez spalenie gaz ten przechodzi w kwas węglany.

Kwas szczawiowy jest także kombinacją węgla z tlenem, wchodzi on w skład ciała zwanego *solą szczawikową*.

Węgiel więcéj daleko tworzy ciał złożonych przez związki swe z wodorem niźli z tlenem. Gaz błotny, oléj skalny, asfalt, smoła, benzina, i t. d. są kombinacjami węgla i wodoru.

Węglowodor lekki zwany także *gazem błotnym*, powstaje przy rozkładzie szczątków roślinnych w wodach stojących, a mianowicie w bagnach i w kopalniach węgla kamiennego.

W niektórych miejscowościach nadzwyczaj obficie wydobywa się z ziemi i raz zapalony pali się nieustannie, ztąd to powstaje tak zwany *ogień święty* w okolicach miasta Boku, nad morzem Kaspijskiem, w Rossji azjatyckiéj. Węglowodor lekki jest bezbarwny i bezwonny, pali się płomieniem słabo świecącym. Jeżeli pomięszamy go z powietrzem i zapalimy, nastąpi natychmiastowy wybuch czyli explozja, z głośnym połączona hukiem.

W niektórych kopalniach węgla kamiennego, wywiązują się ogromne ilości węglowodoru lekkiego tworząc z powietrzem mięszaniny, które w zetknięciu choćby tylko z płomieniem świecy, zapalają się z ogromnym wybuchem. Ileż to nieszczęśliwych górników pada ofiarą podobnych explozji! W Chinach znajdują się studnie w których gaz wytwarza się naturalnie, mieszkańcy zbierają go i używają do oświetlenia.

Węglowodor ciężki otrzymuje się z wyskoku, przez ogrzanie z 6 częściami kwasu siarczanego, nadto tworzy się przy rozkładzie materji organicznych działaniem ciepła jak zazwyczaj z węgli kamiennych. Stanowi on główną zasadę gazu oświetlającego, jest bezbarwnym, pali się płomieniem jasno-świecącym. Nazywają go także *gazem w oléj zmiennym*, z powodu że łącząc się z tlenem daje ciecz oleistą.

Materje naturalne, które równie jak węgiel kamienny zdają się pochodzić z rozkładu roślin, noszą nazwę *bituminów*. Tworzą się z węgla i wodoru i stanowią liczną bardzo gromadę, a najgłówniejsze z nich są olej skalny i asfalt.

Zródła *oleju skalnego* albo nafty w wielu miejscach znajdują się w ziemi, bywają żółte, brunatne a nawet czarne. Niekiedy znów ziemia przesiąkła bywa tymże olejem, dającym się od niéj oddzielić przez dystylację. Zródła oleju skalnego znajdują się w wielu miejscowościach w Europie, jak między innemi i w Galicji, ale najobfitsze są w Ameryce, a szczególniéj w Kanadzie i w Pensylwanji. Oczyszczony oléj skalny daje nam tak powszechnie używaną do oświetlania naftę, lecz oprócz tego, korzystając z nadzwyczaj bogatych jéj źródeł, w ostatnich czasach probują stosować ją jako materjał opałowy, i do ogrzewania lokomotyw. Nadto ponieważ doskonale rozpuszcza żywice, smoły i substancje tłuste, oddaje wielkie usługi w fabrykach pokostów i wernixów, gdzie z korzyścią zastępuje terpentynę i alkohol.

Olej skalny używa się nietylko w przemyśle, ale i w medycynie.

Asfalt, zwany także *smołą żydowską*. Grecy wszelkie rodzaje bituminu zwali asfaltem, od nazwy morza Martwego *Asphaltites*. Składa się z tlenu, wodoru i węgla z pewnym, nieoznaczonym jeszcze ściśle stosunkiem azotu. Znajduje on się w pokładach piaskowca i wapienia, które często przenika. Przed 30 jeszcze laty największa ilość asfaltu pochodziła z morza Martwego czyli Umarłego, które żywicę tę wyrzuca na swe brzegi, lecz kiedy następnie tak liczne znalazł zastosowanie, zaczęto poszukiwać i znaleziono go w wielu miejscach, tak w Europie jak w Ameryce.

Do tejże gromady liczy się *benzyna*, jest to płyn bardzo lotny ma odór mocny, nader nieprzyjemny Ma własność rozpuszczania tłuszczy i dla tego służy do wywabiania wszelkich plam.

Naftalina wchodzi w skład smoły z węgli kamiennnych, krystalizuje się w łuszczki z połyskiem perłowéj konchy. Ma właściwy sobie odór. *Kauczuk* i *gutta percha* tworzą się także z węgla i z wodoru. Kauczuk pochodzi z drzew *ficus elastica* i *ziphonica cabucha*, rosnących najwięcéj w Gujannie, w Brazylji i w Jawie, gutta-percha zaś z rośliny *isonaudra guta hosker*, znajdującéj się w Singapour i w Sumatrze.

Wykazaliśmy, że węgiel może łączyć się oddzielnie z tlenem, oddzielnie z wodorem, zaś te trzy ciała połączone razem w odmiennych stosunkach, tworzą tak wiele najróżniejszych substancji, że wyliczać ich tu niepodobna. Wspomnimy tylko jeszcze o prostych kombinacjach jakie węgiel daje, już to z samym azotem już to z połączenia azotu i wodoru.

Z azotem węgiel łączy się tylko w szczególnych okolicznościach, a głównie przy wypalaniu metalu z węglem zawierającym azot. Łącząc się z sobą, dwa te ciała tworzą nowe ciało zwane *Cyanem*, które wchodzi w związki z metalem. Cyan jest to gaz bezbarwny przenikającego zapachu; zapalony płonie pięknym purpurowym płomieniem. Z żelazem cyan tworzy piękny związek koloru habru, zwany *błękitem pruskim*, pierwszy otrzymał go chemik Scheele.

Kwas pruski czyli wyrażając się naukowo *kwas cyanodworny*. Któż nie zna trujących jego własności? Jest bezbarwny, ma mocny zapach migdałów gorzkich, rozpuszcza się w wodzie i nadaje jéj swe własności. Jest to jedna z najgwałtowniejszych trucizn i działa niesłychanie szybko. Pare kropel napuszczonych na język lub w oko psa, zabija go natychmiast. Kwas pruski nie da się długo konserwować, choćby zamknięty i opieczętowany w szklannem naczyniu, ulega rozkładowi. Rozcieńczony wodą stanowi jeden ze środków lekarskich.

Węgiel łącząc się z siarką wytwarza płyn smrodliwy i duszący, zwany *siarkiem węgla*. Ciało to tak niemiłe w użyciu, ma liczne zastosowania w przemyśle, szczególniéj przy wyrobach z kauczuku, z powodu że łatwo rozpuszcza siarkę. Wiadomo że kauczuk tak zwany *wulkanizowany* zawiera w sobie wielką ilość siarki, która nadaje mu miękkość i nie dozwala zlepiać się zbytecznie.

Na tem kończymy wyliczenie związków węgla mających zastosowanie w przemyśle lub też w gospodarstwie domowem.

(d. c. n.)

Dalszy ciąg opisu N. 8.

N. 35. Strojne ubranie z karoczkiem i szelkami.

Przybranie stanika, u sukni jasnej jedwabnej, zakończonego przy wykroju wązkiemi pliskami, stanowią ładne szelki z tejże materji, podszyte sztywnym muślinem, obszyte 12 cent. szerokim koronkowym wolantem. Króciutkie rękawki z bufki białego tiulu i tiulowy karoczek do paska przyszyty, podpięty z tyłu, mający 23 cent. przedniéj a 67 tylnéj długości, dopełnia przystroju sukni. Między bufami karoczka wpinane są nie zbyt widoczne, małe kokardki z kolorowéj 3 cent: szerokiéj rypsowéj wstążki. Tiulowa riusza, wycięta w ząbki, 6 cen. szeroka i 16 cent. szeroka koronka, zakończa karoczek. Szeroka rypsowa wstążka na kokardach przy szelkach, we włosach i do paska, jest koloru sukni. Suknia u dołu nie wymaga przybrania, lecz strojność toalety o wiele podniosłaby tunika tiulowa, garnirowana jak karoczek.

N. 36. Wieczorowe ubranie z garnirunkiem z liści.

Spódnica i pelerynka z białego tarlatanu, całe układane są w bufki poprzeczne. Tunika otwarta z przodu i stanik wycięty, dodany jest z kolorowéj materji. Nadzwyczaj strojne i efektowne przybranie stanowi garnirunek z liści, wśród falbanek z koronki.

Każdy listek tarlatanowy układa się ze skośnego kawałka 8 cent. długiego, a 4 szerokiego, którego długi brzeg podwija się w miejsce obrąbka, a u dołu przefałdowywa w kształt liścia, podług wzoru N. 12. Szarfy przybrane wstawką, koronką i liściami tarlatanowemi ze wstążki 8 cent. szerokiéj, przypięte z boków tuniki, powinny być koloru materji. Głowa uczesana w loki, ozdobiona jest wiązanką z białych dzwonków i zielonéj trawki.

Opis do N. 9.

N. 1. Ubranie spacerowe.

Do kostiumu złożonego z gładkiéj spódnicy, długiéj sutaszem wyszywanéj tuniki i stanika z karoczkiem, dodany jest krótki, aksamitny kaftanik, lekko podwatowany materją podszyty, ogarnirowany szeroką koronką i oszyty piórami. Kapelusz okrągły, także w koło piórami obszyty.

N. 2. Kostium ze stanikiem pod szyję i przecinaną tuniką.

Suknia z wełnianego rypsu, garnirowana jest plisami atłasowemi w jaśniejszym odcieniu. Wolant wycięty w okrągłe zęby, obejmuje się atłasem. Tunika z tyłu rozcinana z boku w trzy odstające fałdy ułożona, oprócz plis atłasowych oszyta jest piękną jedwabną frendzlą. Stanik na który forma znajduje się na arkuszu dodatkowym do N. 4 i 5, ukroić można z karoczkiem z tyłu. Fason ten i ubranie, zastosowane być może do sukni z aksamitu lub welwetyny.

N. 3. Szlak haftowany ściegiem płaskim i sznurem wyszyty.

Bardzo piękny szlak do sukien, okryć, kaftaników, lub fartuszków, stanowi wyszycie z jedwabnego kręconego sznura, mięszane z haftem płaskim. Wzór odrobiony jest na białym kaszmirze, sznurem i kordonkiem tegoż koloru; tylko supełki przy gałązkach, żyłki na kwiatkach i listkach, odrobione jedwabiem czarnym. Można jednak, stosownie do gustu, dać haft kolorowy, albo w miejsce kordonku użyć włóczki angielskiéj i sznurka wełnianego, dobranych w tym co tło kolorze.

N. 4. Szlaczek z plecionki „mignardise“ i frywolitek.

Między dwoma rzędami plecionki, dany środkiem rząd kółek frywolitowych, które składają się z 28 podw. węz. a łączą między sobą bocznemi pikotami, w górze zaś i u dołu przyrabiają do pikowéj plecionki. Środkiem kółek dodane są węzły złożone z 8 węzłów pojedynczych. Dolne pikotami ozdobione ząbki, robi się dwoma nitkami, brzeg górny obrabia słup. szydełkowemi, przedzielanemi o. powietrznemi.

N. 5. Szlaczek szydełkowy robiony poprzecznie.

Ten nader łatwy szlaczek, składa się z 5 o. po. * 4ch pik. przedzielanych 1 o. pow., 2 o. ści. na najbliższym z 5 o. pow., potem 13 o. pow. z których 5 środkowych łączy się o. ści. na pentelkę obróconą do góry. Powtarzać ciągle od *. Po wykończeniu obrobić u góry łańcuszkiem z o. powietrznych.

N. 6. Wstawka z plecionki mignardise i roboty szydełkowéj.

Wstawka ta składa się z ząbków szydełkowych, ścisłemi ocz. obrabianych. W pierwszym rzędzie ząbki z 13—15 ocz. pow. przyrabia się do pikotów mignardise, i obrabia ocz. śc. odwróciwszy robotę i nie urywając nitki. Dalsze rzędy (których liczba stosuje się do wymaganéj szerokości) wstawki przyrabia się jedne do drugich; do ostatniego przyczepia się plecionkę, któréj brzegi zewnętrzne zakończone są drabinką szydełkową. Kratki środkowe wiąże się z nici koronkowych.



N. 1. Ubranie z kaftanikiem. N. 2. Kostium z tuniką i karoczkiem.

N. 7. Patarafka

pod lampę lub wazon. Opis na arkuszu z formami.

N. 8. Serwetka na stolik do szycia.

Kwadraty gipiurowe rycina 1 i 2 w N. 10 T. Mód.

Kwadraty gipiurowe, odrobione z piaskowego jedwabiu, podłożone aksamitem brązowym i sztywnym papierem, stanowią główne przyozdobienie przykrycia na stolik. Przykrycie składa kawałek brązowego repsu 114 cent. długi i 53 szeroki, wyszycie dane brązowym jedwabiem do cieniu, a ramki krzyżujące się z sobą naszyte koło kwadratów, które Fig. 29 w dodatku w naturalnéj podaje wielkości, są z jasnéj jedwabnéj plecionki, przymocowanéj na tle jedwabiem w dwóch odmiennych cieniach, ściegiem krzyżowanym i sznureczkowym. Odstęp między dwoma rzędami plecionki zahaftowany jest filozelą, ściegiem poprzecznym. Po za ramkami do góry dane przyozdobienie z sutaszu. Pojedyncze arabeski w zagłębieniach między zębami odrabiają się podług wzoru podanego na Fig. 30 i wyszywają łańcuszkiem jaśniejszym kordonkiem.

W N. 10 Tygodnika Mód podane są dwa kwadraty pod N. 1 i 2, które nie wymagają przy dokładnym rysunku żadnych szczegółowych opisów. Do N. 2 potrzebna jest plecionka mignardise w kolorze écru, ponieważ takiéj nie zawsze dostanie w sklepach, można ją kupić białą i saméj sobie ufarbować zanurzywszy w kawie. W koło przykrycia dany sznur jedwabny, a na rogach zębów przytwierdzone są kwasty.

N. 9. Serwetka na stolik.

Opis na dodatku.

N. 10. Narożnik do N. 9.

N. 11. Kołnierzyk i mankietek płócienny.

Krój i opis na arkuszu z formami N. V Fig. 15 i 17.

N. 12. Kołnierzyk stojący

z wywiniętemi rogami i mankietek odpowiedni.

Przody szmizetki oprócz 2 c. szerokiego obrębu przyozdobione są z każdéj strony, dwiema takiejże szerokości zakładami, ułożonemi w kontrafałdę. Podwójny pasek płócienny, 2 i pół cent. szeroki, w koło ostembnowany, stanowi stojący kołnierzyk, oszyty w górze koronką marszczoną, 1 cent. szeroką. Brzegi kołnierzyka są skośnie załamane i wywinięte. Mankiet 8 cent. wysoki jest od góry zwężony, u dołu rozszerzony i wycięty w spiczaste zęby, mające 2 i pół cen. szerokości a 4 cent. głębokości. W zęby te wszywają się bufy, na które dodaje się przy rękawku 8 cent. dłuższéj batystu lub muślinu i ten przecina się odpowiednio zębom wzdłuż, ścina kliniasto z brzegów, marszczy i wszywa w mankietek.

N. 13—17. Opisy na arkuszu z krojami.

N. 18—19. Fartuszki.

Obadwa fartuszki z czarnego jedwabnego rypsu, krajane podług znanéj formy z klinami, mają 66 cent. długości, 74 cent. dolnéj, a 34 cent. górnéj szerokości.

Mogą być wszyte w pasek, lub tylko objęte pliską, z tejże saméj materji i wiązać się na sznury jedwabne z kwastami, albo zapinać na pętlicę ze sznura i guzik.

N. 18. Fartuszek

przybrany plisą aksamitną i wyszyty sznurem.

Plisa aksamitna, 5 cent. szeroka, przyszywa się sposobem na rysunku wskazanym i zakończa u dołu piękną jedwabną frendzlą, a w górze wyszyciem z kręconego sznura.

N. 19. Fartuszek

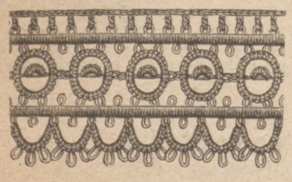
przystrojony kokardami i aksamitem.

Brzegi przodu i zewnętrzne brzegi klinów wycina się w płaskie podłużne zęby, obejmuje atłasem i w rogach łączy za wystające końce kokardami, od spodu zaś, pod

miejsca wycięte, podkłada się wzdłuż paski aksamitu. U dołu fartuszek nieco się zaokrągla, obejmuje w koło atłasem i oszywa wązką frendzlą. Kokardy rypsowe układane są na sztywnym muślinie i przepięte węzłami z aksamitu.

N. 20. Berta chusteczkowa z szarfami.

W ten sposób ułożona berta, z jedwabnéj krepy, tiulu lub muślinu, szczególnie pięknie ubiera osoby szczupłe i wysmukłe, służyć zaś może zarówno do stanika pod szyję, jak i do wyciętego. Wzór z kolorowéj krepy, przystrojony jest białą koronką i wstawkami. Krepa krajana skośno, układa się w fałdy, głębokie podłużne, przepina kokardami lub kwiatami na ramionach i w pasie z przodu. Daléj tworzy z boków rodzaj karoczka, zakończonego z tyłu sutą kokardą ze wstążki, z pod któréj spływają długie krepowe szarfy, oszyte koronką i wstawką.



N. 4. Koroneczka z frywolitek i plecioneczki „mignardise."



N. 5. Szydełkowa koroneczka.

N. 21. Czepek z denkiem haftowanem.

Opis na dodatku.

N. 22. Suknia aksamitna

z żabotem i rękawkami z koronki.

Suknia aksamitna z długim trenem, ma stanik pod szyję zakończony karoczkiem i przybrany suto atłasem, frendzlą i pasmanterją. W około wykroju szyi i z przodu na zapięciu stanika, dodany suty żabot, ułożony z bufowanéj jedwabnéj krepy i koronek. Do sukni minéj strojnéj, można taki żabot ułożyć z białego muślinu lub tiulu i białéj koronki. Dwa skośne kawałki, 12 cen. szerokie, we dwoje (brzegami na spód) do środka złożone, co 10 cen. odległości są poprzecznie w bufę przefałdowane i na fałdach suto koronką 4 cen. szeroką naszyte. Także ubranie dodane jest przy rękawach z tiulu czarnego jedwabnego w rzucik, obcisło zapiętych koło ręki.

N. 23. Szarfa z frendzlą i kratką wyciąganą.

Podług podanego rysunku, łatwo będzie szarfę ułożyć z szerokiéj rypsowéj wstążki, któréj brzegi obcina się w miejscach na wysiepanie frendzli i wyciągnięcie kratki przeznaczonych. Poczem poprzeczne nitki można już będzie igiełką wyciągnąć, kratkę jedwabiem zamocować, a frendzle w supełki powiązać. Także samo przyozdobienie i układ powinny mieć kokardy do włosów i kołnierzyka.

N. 24. Suknia ze stanikiem

pod szyję z przodu wyciętym.

Suknia z pięknéj wełnianéj materyi, ubrana jest aksamitem tegoż samego koloru. Kwadratowy wykrój stanika, zapełnia szmizetka, ułożona z bufek tiulowych i wstawek haftowanych. Szeroka koronka przy wykroju i rękawach może być biała lub czarna. Głowa ubrana czarnemi lawowemi perłami.

N. 25. Szmizetka z muślinu i koronki.

Krój w dodatku N. III Fig. 11 i 12. Tył szmizetki zobacz rycinę 16.

O ubiorach.

Magazyn pana Matuszewskiego przy ulicy Miodowéj, przeznaczony wyłącznie okryciom i kostiumom gotowym, wyprzedził w tym roku magazyny inne w sprowadzeniu nowości wiosennych, to też słusznie mu się należy dzisiejsze wspomnienie nasze.

Zwiedzając ten obszerny zakład, uważaliśmy dwie rzeczy, przemawiające bardzo na jego korzyść oto: wykwintny gust obok wyraźnéj dążności ku oszczędności. Przyznać jednak wypada, że moda w tym razie niemało poparła zamiary p. Matuszewskiego, gdyż usuwa stanowczo zbytkowne przystrojenia i materjały.

Paletoty aksamitne bez których w Warszawie kobiety choćby mniéj zamożne obejść się prawie nie mogą, za granicą coraz mniéj są noszone.

Wprawdzie Panie bardzo bogate noszą całkowite z aksamitu suknie, a nawet kostiumy, ale to tylko do powozu, inaczéj aksamit na ulicę mało bywa używany. Niemało nam przyjemności zrobiło spostrzeżenie, że aksamit wychodzi z mody zbytnia bowiem skwapliwość z jaką



N. 7. Patarafka pod wazon albo lampę.

wszyscy bez wyjątku prawie sprawiali sobie okrycia aksamitne, podniosła cenę tego materjału do tego stopnia, że aksamitomanja stała się plagą niejednéj kieszeni, gdzie na zachcianki tego rodzaju nie znalazł się hamulec zdrowego rozsądku.

W ogólności wszelkie okrycia i paletoty za granicą, zastępują coraz bardziéj kostiumami, wyrabianemi z cięższych lub lżejszych materjałów stosownie do pory roku i pogody.

Kostiumów gotowych sprowadził p. Matuszewski wybór tak wielki, że niepodobna je wszystkie wyliczyć, za nim jednak przystąpiemy do opisania niektórych, odznaczających się pięknością wykończenia, rzućmy okiem na ogólne zmiany w kroju.

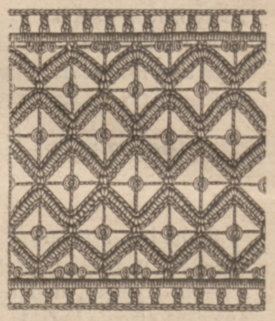
Spódnice są cokolwiek dłuższe u kostiumów, nie idzie jednak zatem żeby się wlekły po ziemi, otacza je zwykle kilka małych lub jeden bardzo szeroki wolant. Tiunika modniejsza jest taka, która z przodu spada jak okrągły i długi fartuszek z tyłu zaś podpięta jest tyle razy że zdaje się być krótszą od przedniego brytu tiuniki. Staniki zastępuje tak zwane vêtément, to jest jakby wcinany paletot, do którego dodaje się pasek z karoczkiem, naśladującym fraczek, co na fałdach tiuniki koniecznem jest dopełnieniem w miejsce szarf dawnych, które zupełnie wyszły z użycia.

Lecz największą nowość przy kostiumach stanowią krótkie pelerynki, które spadają aż za pasek, pokrywając figurę i stanowią niemal konieczne dopełnienie kostiumu na ulicę. Rękawy są nieco tylko rozszerzające się od łokcia oszyte falbanką kilka razy, co je trochę więcéj rozszerza przy ręce. Zwracając się do prześlicznych modeli sprowadzonych na tę wiosnę, wymieniemy z nich kilka szczegółowo i imiennie, jak zastały nazwane w miejscu, gdzie ich wykonano.

Kostium Lucca koloru bardzo mlecznéj kawy.

Spódnica w jednym kolorze oszyta bez odstępów cztery razy do koła falbanką marszczoną, czterocalowéj szerokości. Tiunika tegoż samego koloru, ale w nieco ciemniejsze paski, z przodu tworząca okrągły fartuszek z boków podpięta, z tyłu nieco dłuższa oszyta falbanką z materjału w paski, ponad którą naszyta pliska z materjału gładkiego. Boczne bryty tiuniki podpięte są za pomocą szarf wązkich i sztywnych, z materjału gładkiego.

Staniczek z wyrobu w paski z karoczkiem, ma ranwers z materjału gładkiego, oszyty riuszą na podobieństwo tiuniki i zakończony na piersiach kokardą z gładkiego materjału. Rękawy paletotowe trochę rozszerzone od łokcia oszyte dwa razy marszczoną falbanką, z pomiędzy któréj wypadają pukielki w jednym kolorze. Tak rękawy jak i wycięcie w około szyi otacza falbanka zaprasowana z białego muślinu, wiele świeżości nadająca téj prawdziwie wiosennéj sukni.



N. 6. Wstawka szydełkowa z plecionką „mignardise."

Kostium Florida wełniany, piaskowego koloru z dwóch materjałów, gładkiego i w paski.

Spódnica z gładkiego materjału z szeroką bardzo falbaną przytrzymaną u góry plisą ukośną z materjału w paski. Vêtement niby kaftan do figury wcięty, z przodu się rozchodzi, tworząc dwie spiczaste poły z tyłu tiunika długa i rozcięta aż do paska wygląda na podobieństwo przednich brytów. Całe to zwierzchnie ubranie jest w jednym kolorze, oszyte takąż frendzlą i plisą w ukośne paski. Jako dopełnienie ubrania, dodana jest pelerynk rozcięta z tyłu i pokryta wielkim bardzo kwadratowym kołnierzem z materyi w paski. Pelerynka w jednym kolorze ubrana plisą i frendzlą.

Kostium Dogmara. Spódnica brązowa ciemna, trzy razy obszyta falbanką marszczoną. Tiunika jasno popielata w drobniuchną czarną krateczkę, dość długa i suto z tyłu podpinana, objęta dokoła plisą brązowego koloru z wypustką białą. Na wierzch przeznaczony był kaftanik wolny z pelerynką, przypiętą na plecach kokardą brązowego koloru, ubrany plisą, wypustką i grelotką popielatą szmuklerskiéj roboty.

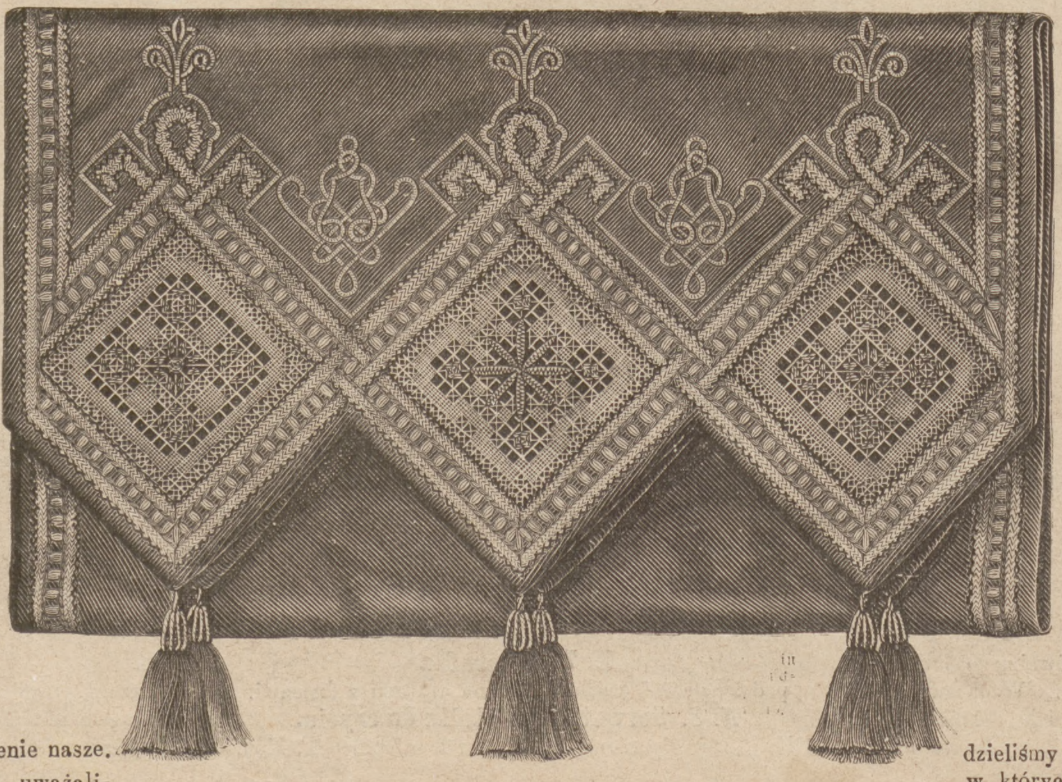
Z pomiędzy tak zwanych vêtements, to jest kostiumów zwierzchnich bez dodania spódnic, najbardziéj nam się podobały czarne kaszmirowe, gdyż są prześlicznie wykończone i bardzo praktyczne, bo mogą służyć do spódnic rozmaitych kolorów.

Wszystkie te kostiumy jakkolwiek różne mają zmiany na pozór, prawie wyglądają podobnie gdyż się składają z paletota więcéj lub mniéj wciętego do figury, który zarazem stanowi tiunikę długą, najczęściéj rozciętą z przodu i z tyłu.

Dopełnienie stanowi pelerynka. Przybranie najmodniejsze: dżet mięszany ze szmuklerską robotą, co jednak jako kosztowniejsze zastępują plisami z wypustką jedwabną lub garnirunkami z kaszmiru i frendzlą.

Obok tych kostiumów które są zupełną nowością, magazyn p. Matuszewskiego zaopatrzony został w materjały na nie, z pierwszéj ręki, a obecnie starać się będzie usilnie kopjować modele sukien zagranicznych, po cenach, które nie wyniosą więcéj nad to co się płaci kupując z łokcia, i płacąc osobno za dodatki i robotę.

Nadto cośmy już opisali widzieliśmy wielki wybór paletotów wiosennych, w których kroju żadna zmiana nie zaszła, są one dość krótkie z szerokiemi rękawami. Najwięcéj nam się podobały z syberyny nazwanej „drap velours" nieco



N. 8. Serwetka na stolik do szycia. Zobacz kwadraty gipiurowe ryc. 1 i 2 w N. 10 Tyg. Mód.

podobnéj do aksamitu, obszyte frendzlą grubą sznelową.

Są to paletoty bardzo miękkie i ciepłe, a cena ich zaczyna się już od 18 rs.

Na zakończenie sprawozdania naszego, dodajemy jeszcze ceny niektórych przedmiotów z zakładu bielizny damskiéj pani Rejchowéj przy ulicy Czystéj w domu W. Bauerfeinda.



N. 11. Kołnierzyk płócienny z rękawkiem. Krój N. V. Fig: 15 — 17.

Zwróciły szczególniéj uwagę naszą staraннем wykonaniem i gustem, czepeczki negliżowe po cenie od rs. 1 k. 20 do rs. 6, nocne od kop. 75 do rs. 1 kop. 80, kołnierzyki płócienne od kop. 15 do rs. 2 kop. 25, kołnierzyki tiulowe od kop. 50, koronkowe do rs. 10; mankiety płócienne od kop. 60 do rs. 2 kop: 50; kaftaniki ranne od rs. 1—80 do rs. 6. Penioary od rs. 6 do rs. 15. Spódniczki białe od rs. 3 do rs. 18. Sukienki dla dzieci pikowe od rs. 3 do rs. 10. Fartuszki od rs. 1 do rs. 4.

Magazyn ten odznacza się również wyborem tiulików po cenie od kop. 2 do rs. 1 za łokieć, blondyn czarnych i białych od kop. 2 i pół do kop. 60, wstążek w różnych szerokościach od kop. 5 do rs. 1—20 i towarem łokciowym białym od kop. 15 do kop. 85 za łokieć. Zaopatrzony także jest w chustki do nosa płócienne i batystowe od rs. 3 do rs. 15 za tuzin i w różne gatunki pończoch damskich po cenie od rs. 8 do rs. 15 za tuzin; dla dzieci od rs. 4 do rs. 8.

W magazynie tym przyjmuje się do szycia wszelka bielizna damska i dla dzieci po cenach umiarkowanych.



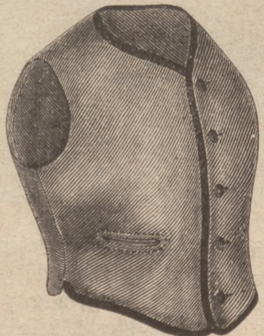
N. 16. Kołnierz szmizetkowy do ryc. 24 (tył) krój N. III Fig. 11 i 12.



N. 18. Fartuszek wyszywany sznurkiem z plisą aksamitną.



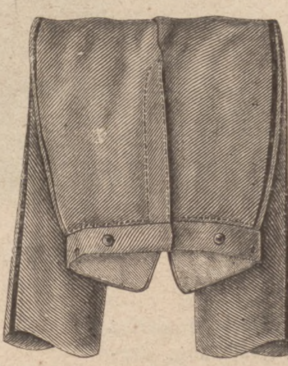
N. 9. Serwetka na stolik z półbatystu podkładana tiulem i dziergana. Zobacz narożnik serwetki ryc. 10.



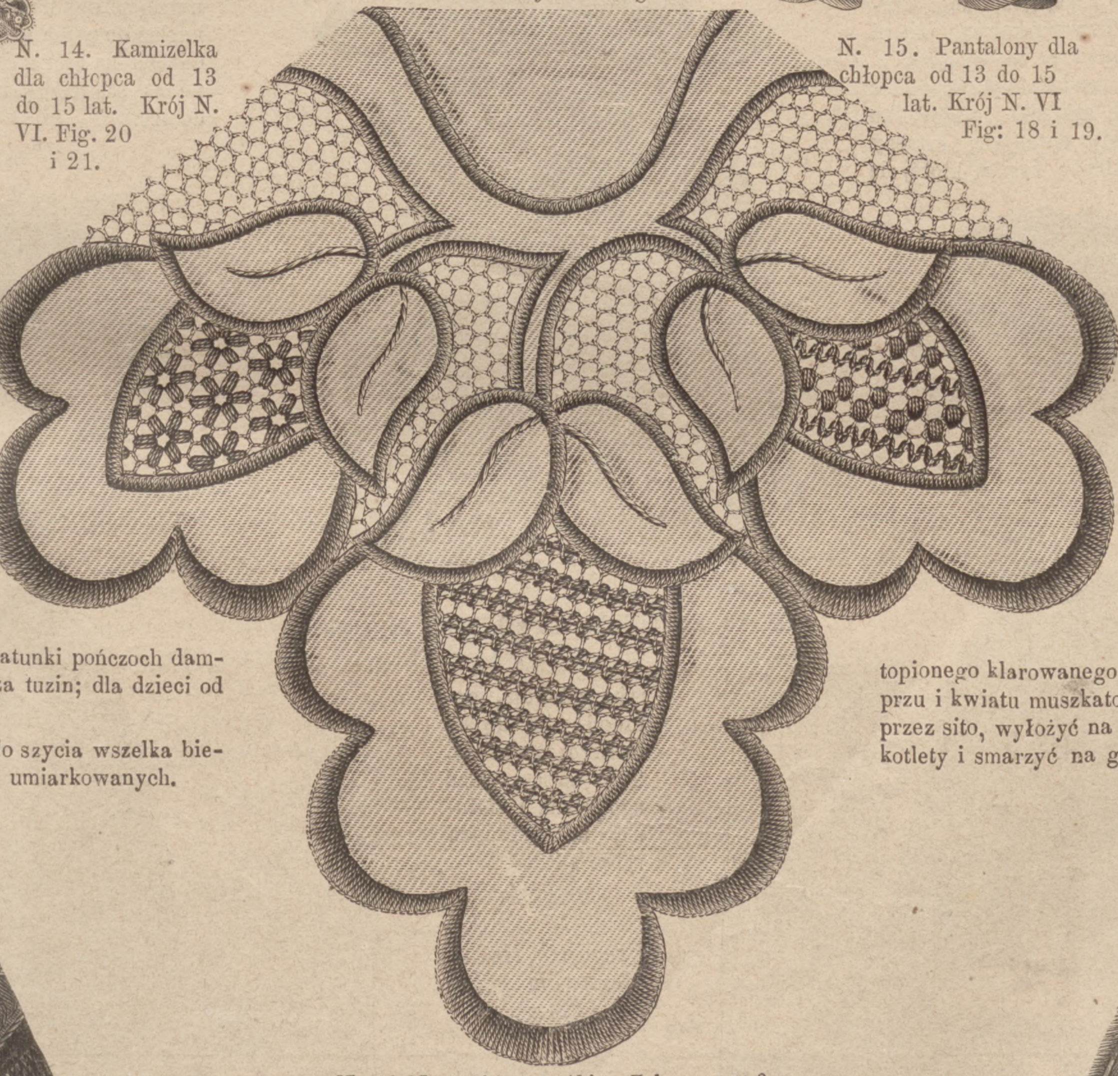
N. 14. Kamizelka dla chłopca od 13 do 15 lat. Krój N. VI. Fig. 20 i 21.



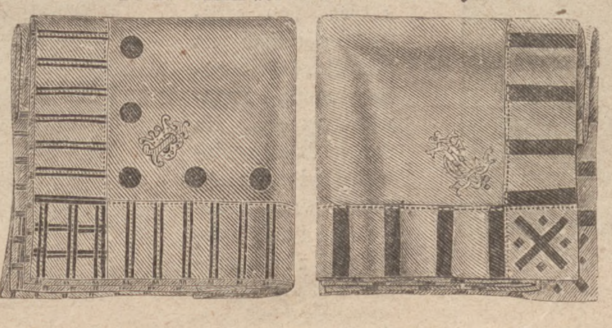
N. 13. Kaftanik do garnituru dla chłopca od 13 do 15 lat. Krój N. VI Fig 22—25.



N. 15. Pantalony dla chłopca od 13 do 15 lat. Krój N. VI Fig: 18 i 19.



N. 10 Narożnik serwetki. Zobacz ryc. 9.



Męzkie chustki do nosa płócienne z przystębnowanemi paskami kolorowego perkalu.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

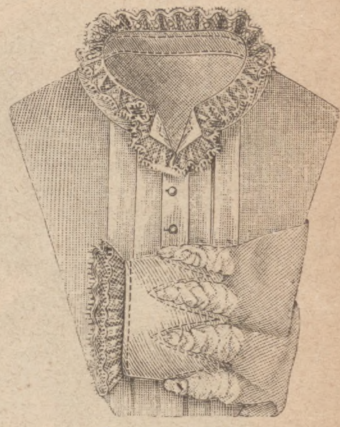
Sér ostry, wyborny do zakąski.

Garniec zsiadłego mléka wstawić do letniego pieca by się serwatka oddzieliła. Wyrzucić na sito a skoro serwatka ścieknie, włożyć mléko do salaterki, dodać 3 lub 4 spore łyżki masła świeżego, wymięszać dobrze, posolić, potem wsypać parę łyżek cukru i parę łyżek sarepskiéj gorczycy w proszku; wymięszawszy dobrze, wlać massę w serwetę, zawiązać i na kilka godzin położyć pod kamień.

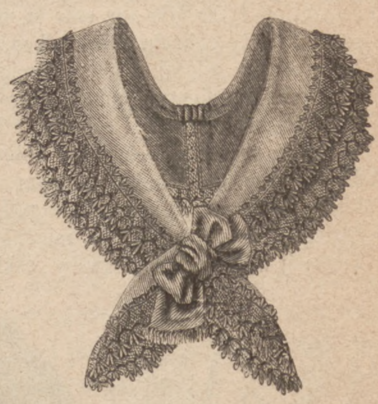
Ser taki w suchym i chłodnym miejscu długo się konserwować może.

NB. Zważać trzeba na to by mleko przy odgrzewaniu bardzo lekko zsiadło się, nie tak jak na sér zwyczajny albowiem po zrobieniu powinien mieć pozór masła.

Malwina O.



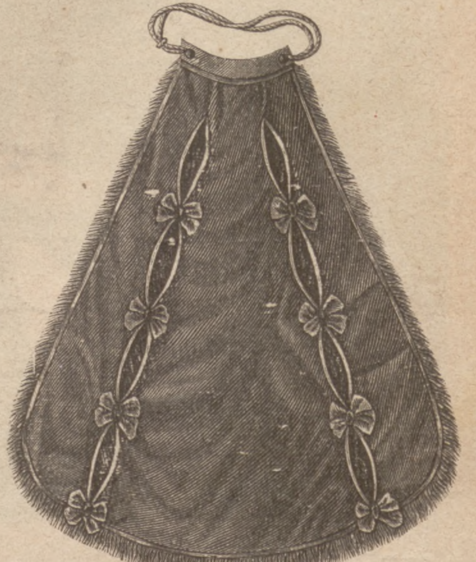
N. 12. Kołnierzyk stojący z wykładanemi rożkami.



N. 17. Pelerynka z kokardą. Krój N. II. Fig. 10.

Kotlety z szczupaka.

Do funta drobno usiekanéj ryby, oczyszczonéj z ości i skóry dodać: 12 łutów bułki tartéj przesianej przez durszlag i nieco zwilżonéj, 12 łutów masła topionego klarowanego, 2 jaja całe, cokolwiek soli, pieprzu i kwiatu muszkatołowego. Mięszaninę tę przetrzeć przez sito, wyłożyć na stolnicę osypaną mąką, robić małe kotlety i smarzyć na gorącym maśle.



N. 19. Fartuszek przystrojony aksamitem i kokardami.

Karp sadzony.

Oskrobać rybę z łuski, obmyć, rozpłatać, krew spuścić na ocet wyjąć wnętrzności, pokrajać w dzwona, włożyć w miskę, polać wzrzącym octem i nakryć miską.

Po takiem przygotowaniu karpia przyrządzić w rondlu następną zaprawę: wina, piwa i wody w równych częściach, ale tylko tyle aby cała ta mięszanina tylko zakryła rybę, albowiem gdy będzie więcéj to karp rozmięknie. Do tego dodać kilka ziarnek pieprzu, angielskiego ziela, goździków, drobno krajanéj marchwi i selerów. Dzwona karpia, ułożyć w rondlu przykryć pokrywą i gotować na mocnym ogniu. Przez czas gotowania w innym rondelku przyrumienić kilka kawałków cukru, dodać pół szklanki miodowniku tartego, włożyć rodzeńków, migdałów obranych, cytryny krajanéj w talarki, a dolawszy szklankę sosu w któréj się ryba gotowała, gotować póki się nie zrobi sos zawiesisty. Tym sosem polać ugotowaną i ułożoną na półmisku rybę.



N. 20. Berta chusteczkowa z szarfą z jedwabnéj krepy, muślinu albo tiulu.



N. 22. Suknia wizytowa z rękawkami i kołnierzykiem z krepy jedwa bnéj i koronki.



N. 21. Czepek muślinowy z haftowanem denkiem. Krój N. IV Fig. 13 i 14.



N. 23. Szarfa jedwabna z kokardą do sukien.

Szczupak, lin lub leszcz w galarecie.

Którą kolwiek z tych ryb oczyścić pokrajać na kawałki, osolić solą prażoną i zostawić przez noc. Na drugi dzień ugotować włoszczyzny, cebuli wraz z korzeniami, rybę opłukać z soli, włożyć w rondel i nalać przecedzonym sosem z włoszczyzny. Gotować rybę pół godziny, dolewając po trochu wody zimnéj, aby się nie rozgotowała, gdy już będzie łupka wyjąć ostrożnie na półmisek, a do sosu włożyć łut żelatyny lub więcéj stosownie do ilości ryby — należycie wygotować i odstawić od ognia aby się sos ustało. Potem w głęboką salaterkę lub formę wlać trochę płynu rybiego, przecedzonego przez czysto wypłukaną serwetę, a gdy stwardnieje włożyć cytrynę krajaną w plasterki, korniszony, kapary i grzybki, układać na to rybę, uważając aby najładniejsze kawałki do dna przypadły i zalać do pełna galaretą przecedzoną. Przed samem wydaniem na stół galarety, obwinąć trzeba formę na parę minut ściereczką umaczaną w gorącéj wodzie, a wyjdzie dobrze.



N. 24. Suknia wizytowa z wyciętym stanikiem na przodzie i szmizetką tiulową.



N. 25. Kołnierz szmizetkowy z muślinu i koronki. Krój w dodatku N. III. Fig. 11 i 12. Tył kołnierzyka ryc. 16.